

## NIEZNANE LISTY BOYA

Stanisław Białkowski

str. 10

## RAMJGANJ

Marek Zdrojewski

str. 4-5

## LESZEK

Henryk Czarnecki

str. 11-12-13

ROK ZAŁOŻENIA 1933

# Kammena

LUBLIN 10 VII 1977 Nr 14 (630)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

## PILOT HELIKOPTERÓW

Mirosław Derecki

**R**YSZARD Kosiół znowu zmienił specjalność: z lotnika doświadczalnego stał się agrolotnikiem. Pilotuje śmigłowiec jak dawniej, ale teraz interesuje go przede wszystkim zastosowanie helikopterów w rolnictwie. Od czasu, kiedy zorganizował Wydział Usług Agrolotniczych w Świdniku, lata po całej Polsce, przesiaduje w pegeerach doglądając pracy swoich podopiecznych; czasem znika na całe tygodnie. Kiedy się do niego telefonuje, odpowiadają: „Kierownika nie ma. Pojechał właśnie śmiać do Iranu”, albo do Libii, do Egiptu.

Rzadko można teraz spotkać Rysia Kosiola w dziennikarskim klubie „Nora” przy Krakowskim Przedmieściu w Lublinie! Rysia, doskonałego gawędziarza, miłego kompana, z nieodłączną fajeczką w zębach, z trochę kpiarskim uśmiechem na twarzy — owego krępego, na języka przyszytych mężczyzny, z którego osobą zawsze kojarzy się uczucie życzliwego stosunku do świata i... zapach dobrego tytoniu. Jeżeli już znajdzie chwilę wolnego czasu, to pędzi nad Wisłę, do ulubionego Kazimierza.

Kiedy będziecie wjeżdżali do tego miasteczka, zerknijcie na parking przy

stacji obsługi samochodów. W głębi placu, po prawej stronie, stoi dziwny wehikuł — ni to autobus, ni to wóz cygański z dziwną szklaną kopułą na dachu. To letni domek Rysia Kosiola. Przerobił go ze starego, wycofanego z eksploatacji wozu kontroli lotów i przyholował ze świdnickiego lotniska ku satysfakcji własnej oraz przyjaciół, którzy zawsze znajdują w nim gościnny gospodarza.

Przeleciał całą Polskę, zjeździł kawał świata — pilotował śmigłowce w Bułgarii i w Iranie, prowadził polski helikopter na wystawę lotniczą w Le Bourget pod Paryżem, latał nad Szwajcarią, Holandią i Stanami Zjednoczonymi.

Trzydzieści jeden lat za sterami i dopiero... czterdzieści cztery lata życia. „Naprzód, naprzód!” oto dewiza Ryszarda Kosiola. „Kto stoi w miejscu, ten się cofa.” Uczył go tego przed laty człowiek, który stał się niejako ojcem duchowym Kosiola, pilot-instruktor Tadeusz Góra, najpierw nauczy-

Dokończenie na str. 8-9



Czesław Niemen

Fot: J. Talar

## QUO VADIS ESTRADÓ?

**M**UZYKA rozrywkowa to podobno wdzięczny temat dla ludzi pióra. Można na nie, zarobić pieniądze pisząc mniej lub więcej udane panegiriki na cześć gwiazd estrady, bądź też mocno narażać się krytyką artystom i ich menażerom. Jako że nie grozi nam ani jedno ani drugie, postanowiliśmy przedstawić tzw. „rzeczywistość obiektywnie postrzeganą”. Można to nazwać raportem o stanie naszej estrady lub, jak kto woli, wyciemem głodnego.

Za punkt wyjścia naszych rozważań wzięliśmy wszystkie dokonywane aktualnie w kraju nagrania muzyki rozrywkowej, prezentowane w radiu i telewizji, płyty Polskich Nagrań, impre-

zy estradowe i festiwale, a także publicystykę muzyczną. Na początek potentat największy — Polskie Radio. W czterech programach ogólnopolskich i programach lokalnych siedemnastu rozgłośni regionalnych nadaje się w ciągu doby kilkadziesiąt godzin muzyki rozrywkowej. Wylączając „Trójkę”, rządzącą się swoimi prawami, wszystkie pozostałe audycje muzyczne karmią się tym, co nagra i zatwierdzi Naczelna Redakcja Muzyki Rozrywkowej PRiTV.

## Do tyłu...

Marian Aleksandrowicz  
Istvan Grabowski

Nie od dzisiaj wiadomo, że głównym konsumentem produktu zwanego rozrywką jest młodzież. W tzw. dawnych dobrych czasach miała ona specjalny blok programowy „Popołudnie z młodością”, dysponujący własnym studiem nagraniowym. My, starzy odbiorcy muzyki zwanej młodzieżową, znający ją niemal od narodzin, ze szczerą leżką w oku wspominamy „Studio Rytm”, prowadzone przez sztab najwybitniejszych dziennikarzy muzycznych i reży-

serów dźwięku. Dzisiaj, kiedy działalność owej firmy przeszła już do historii, trudno przecenić zasługi tych ludzi. To, co „Studio Rytm” nagrywało, niewiele tylko ustępowało produkcjom zachodnim, a nawet w pewnym momencie je przewyższało. Sławomir Pietrzykowski, Marek Kaczkowski czy Roman Waschko włożyli w to sporo serca, nie załując czasu i pieniędzy wykładanych często z własnej kieszeni. Ale też efekty były widoczne. Przez sito kontroli bardzo rzadko przeciskał się ktoś, kto nie miał nic do powiedzenia. Kierownictwo Studia cechowała wiara w utalentowanych twórców i wykonawców oraz oddanie wysokiej jakości polskiej piosenki.

28 lutego 1973 roku na antenie Polskiego Radia nadano ostatni program tego zastrzeżonego dla piosenki Studia.

Dokończenie na str. 12

## RYSZARD WÓJCIK



**R**YSZARD Wójcik, I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Lublinie, członek KC PZPR, poseł na Sejm PRL, przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej nie żyje... Trudno pogodzić się z tą śmiercią. Ryszard Wójcik należał do „drugiego pokolenia” Polski Ludowej. Nie tego, które ofiarą walki i krwi formowało socjalistyczny kształt Ojczyzny — urodzony w 1931 roku był na to za młody — ale do tego, które ów kształt promowało ofiarą pracy. Jako syn robotnika kolejowego zdobył wyższe wykształcenie rolnicze i w tym kierunku służył swoimi umiejętnościami odradzającej się gospodarce narodowej. Niewiele czasu poświęcał na sprawy osobiste. Zaangażowanie w pracę na powierzonych Mu coraz trudniejszych stanowiskach pochłaniało Go całkowicie. Należał do pokolenia, dla którego start odrodzonej Ojczyzny był jednocześnie jego startem życiowym. W pozostawionym przez siebie wzorze działacza partii i administracji państwowej zawarł wysokie wymagania stawiane samemu sobie, umiejętność widzenia spraw w gradacji ich ważności, potrzebę nieustannego zdobywania coraz wyższych kwalifikacji.

Syn Lubelszczyzny związany z nią całym życiorysem. Urodził się w Okrzei, uczył i studiował w Lublinie, pierwszą pracę zawodową podjął w Podedwórzcu. Jako wykształcony i doświadczony organizator znajdował się u czoła inicjatyw, dla których kompasem był zawsze realny pożytek regionu. Należał do ludzi, którzy chcą i którzy umieją. Sprawowanie władzy było dla Niego podejmowaniem decyzji w oparciu o fachową znajomość problemów domagających się rozstrzygnięcia. Znajomość swoją i innych.

Śmierć w dniu 25 czerwca b.r. — niespodziewana, choć o chorobie wiedzieliśmy od dawna — nie tylko wytrąciła z grona działaczy jednego z najaktywniejszych, ale przesłoniła żalobną krepą miejsce, na którym zwykle spodziewaliśmy się ujrzyć żywą obecność osoby powszechnie znanej i szanowanej.

Ryszard Wójcik — to imię i nazwisko nie do pominięcia w jakiegokolwiek ze spraw ważnych dla województwa. Tak też zostanie. Jest triumfem ludzkiej pamięci, triumfem ludzkiego wzoru nad prawem przemijania, że treści zawarte w życiu ofiarnie oddanym sprawie nie rozwieją się z ostatnim tonem żalobnego marsza, z ostatnim słowem pogrzebowej mowy.

Nie wiedzieliśmy, że tak rychło Aleja Zasłużonych powiększy się o jedną i o tę właśnie mogiłę. Ale płyta nagrobowa nie przykrywa dokonań. One trwają.

I tak już zostanie.

## z notatnika

26 VI. Wpadła mi w ręce książeczka p.t. „W obliczu wydarzeń” pióra Włodzimierza Bączkowskiego, która ukazała się w Warszawie w 1939 r. nakładem wydawnictwa „Myśli Polskiej”. Włosy się jeża na głowie, gdy poznaje się poglądy autora na ówczesną sytuację międzynarodową, gdy się czyta, jak Bączkowski jawnie nawołuje do inwazji na Związek Radziecki, domaga się utworzenia w Polsce „partii wojennej”. Aż dziw, skąd ta agresywność, skoro w pewnym miejscu Bączkowski dochodzi do wniosku, że sytuacja gospodarcza Polski jest wprost beznadziejna, a poziom życia jej mieszkańców zaskakująco niski.

Za ilo rozważań służy mu Mały Rocznik Statystyczny. Autor stwierdza: Według Rocznika — Polak należy do najuboższych w Europie. Dochód społeczny na jednostkę w Polsce w r. 1929 stanowił 900 zł rocznie. We Francji — 2100 zł, w Danii i Niemczech — 2500 zł, w Anglii 4200 zł itd. W roku 1933 ten dochód społeczny na jednostkę w Polsce spadł jeszcze bardziej, stanowiąc już tylko 500 zł rocznie i jeszcze bardziej pogłębiając rozpiętość z zagranicą. A jakie mamy oszczędności? Nasze wkłady oszczędnościowe wynoszą 1 miliard 304 miliony zł. Mała i zrujnowana Austria miała tych wkładów o połowę więcej, Szwajcaria i Holandia — trzy razy więcej, Włochy — 8 razy więcej. A jak się odżywiamy? Głównie ziemniakami i chlebem żytnim.

Bączkowski przyjmuje liczbę produkcji przemysłowej w 1928 r. za 100 i uzyskuje następujące wskaźniki w 1936 r.:

Japonia — 169, Anglia — 123, Niemcy — 108, Stany Zjednoczone — 94, Francja — 78, POLSKA — 72. Analogiczne wskaźniki przy produkcji stali wynoszą: Japonia — 246, Anglia — 137, Niemcy — 134, Włochy — 103, Stany Zjednoczone — 90, POLSKA — 79.

Inne dane. Przeciętna liczba osób mieszkających w jednej izbie: Warszawa — 2,06, Ryga — 1,61, Helsinki — 1,49, Rzym — 1,33, Sztokholm — 1,12, Oslo — 1,10, Berlin — 1,01, Londyn — 0,89.

I teraz uwaga: samochody. Tu już trzeba przedrukować całą tabelkę. Po-

szczegółne liczby (w tysiącach) dotyczą roku 1929 i 1936:

	1929	1936
Francja	1089	2665
Anglia	1309	2643
Niemcy	577	1232
Włochy	189	397
Czechosłowacja	47	125
Nowa Zelandia	115	191
POLSKA	29	25

W chwili, gdy Francja niemal podwoiła liczbę swych samochodów, a Czechosłowacja potroiła, Polska — i tak kopciuszek — obniżyła do 25 tysięcy, czyli w 1936 r. miała pięciokrotnie mniej samochodów niż nasz południowy sąsiad i pięćdziesięciokrotnie mniej niż Niemcy!

Komentarze są tutaj zupełnie zbyteczne. Oczywiście stale porównywanie gospodarki naszego kraju w stosunku do lat przedwojennych nie miałoby większego sensu, bo świat przecież nie stoi w miejscu, nie mniej pewne liczby są nad wyraz wymowne. I kiedy mówimy o przyspieszeniu naszego tempa wzrostu, warto dokonać bilansu dotychczasowych osiągnięć, nie zapominając o punkcie startu. A tym punktem nie był przecież ani rok 1936, ani 1939, ale rok 1945, kiedy byliśmy biedniejsi niż kiedykolwiek.

29 VI. „Trybuna Ludu” doniosła o „manewrach” wojskowych, które odbyły się na ulicach stolicy USA. Te „manewry” polegały na tym, że oddziały, a raczej bojówki przebrane za żołnierzy radzieckich wylapywały na ulicach Waszyngtonu młodych żołnierzy amerykańskich i wsadzały ich do „obozu jeńców wojennych”. Dzienniki amerykańskie zamieściły dokładne opisy „przesłuchań”, jakim poddawano „jeńców”. Cel tej akcji był jeden — wzbudzenie uczucia nienawiści i strachu wobec ZSRR.

Jest lato 1977. W Belgradzie odbywa się konferencja, która ma na celu pogłębienie ducha współpracy międzynarodowej. Jak pogodzić jedno z drugim? Czy po tamtej stronie oceanu ciągle musi straszyć duch Forrestala?

MAJ

## OGÓLNOPOLSKI ZJAZD FILOZOFICZNY



Fot. J. Mirosław

**O**D 20 do 23 czerwca br. obradował w Lublinie Ogólnopolski Zjazd Filozoficzny, którego gospodarzem był Międzyuczelniany Instytut Filozofii i Socjologii, organizacyjny związany z UMCS. Zjazd, pierwszy w kraju od lat kilkudziesięciu, odbywał się pod hasłem „Filozofia w służbie narodu i socjalizmu” i zgromadził ponad 300 naukowców z różnych ośrodków uczelnianych, którzy wysłuchali ponad 70 referatów i 20 komunikatów. Lubelskie spotkanie dobrze informowało o sytuacji w polskiej filozofii, przede wszystkim — w filozofii marksistowskiej. Przewodniczący Rady Państwa, prof. dr Henryk Jabłoński, skierował do zjazdu list gratulacyjny.

**P**IERWSZA wojna światowa przewaliła się nad moją wsią ogniem i żelazem, zostawiając połowę domostw w gruzach i popiołach. Część ludności, uciekając przed nią, rozproszyła się jako „bieżeńcy” po terenach Rosji, zaś ta, co została na miejscu, poczęła przymierać głodem. Nie było w tym czasie czym obsiać pól, nie było sprzężaju, dodzierano ostatni przyrodzivek. Ludność zbierała kłosa perzu, zołędzie i to wszystko przetarłszy na zarnach, piekła coś w rodzaju chleba, zaś z lebiód gotowano zupę. To było okrutną prawdą, o której jeszcze do dziś wspominają najstarsi mieszkańcy. Potem wraz z powracającymi „bieżeńcami” przywędrował do wsi tyfus i cholera. W każdej chacie umierały w ciągu miesiąca dwie, trzy osoby, nie było nawet czym odtransportować zmarłych na cmentarz. Kładziono w takich wypadkach trumnę zbitą w formie koryta na zadek wozu i kilkoro ludzi pchało taki karawan aż na cmentarz, aby wrócić do wsi zabierając następnego nieboszczyka. Tak było niemal we wszystkich nadbuzańskich wsiach, a w mojej prawdopodobnie najgorzej. Aby zapobiec epidemiom, odprawiano modły, wychodzono na przeciagające przez wsie procesje, na krzyżowych drogach, wśród błagalnego pienia o zmiłowanie, stawiano krzyże, pod które zakopywano kawałek zgrzebnego płótna — miało chronić od dalszej śmiertelności — utkanego przez jedną z niewiast na krosnach w ciągu jednej nocy; niektóre krzyże przetrwały do dziś. Ale ówczesny tyfus nie miał jakoś przekonania do odprawianych egzorcyzmów i długo jeszcze grasował.

Po tyfusie, który stopniowo zaczął jednak przygasać, rozpanoszyła się febra, u nas nazywana pohanka, ale nie była tak groźna jak poprzednie choroby i dawała się swojskim sposobem wyleczyć. Wystarczyło, aby zachorka wrzuciła choremu za pazuchę zimną wielką żabę, to jeśli był on na tyle jeszcze mocny, że ze strachu nie umarł, febra opuszczała go bezpowrotnie. Jeszcze dziś mówią z uśmiechem o takim „pomocnym” lekowaniu byli pacjenci owych bab. Wieś stopniowo odbudowywała się, komornicy i zarobnicy budowali sobie własne domy — budy. Pola zaorywano przy pomocy krów, skopywano szpadlami, siejąc staję żyta, staję owsa, trochę ziemniaków, lnu i konopi — i jakoś tam się z biedą żyło.

W takiej właśnie chacie urodziłem się, a jej obraz z lat dziecięcych chyba na zawsze pozostanie mi w pamięci. Chat takich było we wsi około 130, a wieś nosiła nazwę Stawki, chyba od łańcucha dawnych stawów dworskich ciągnących się nie opodal, dziś już nieczynnych. We wsi żyli chłopcy, obok, w czworakach, dworusy. W sąsiedniej wsi Różance panował dziedzic na wielkim folwarku z gorzelnią. Połowa ludności obu wiosek chodziła do dworu do roboty. Zimą wywożono i roztrzaskano obornik wprost na śnieg, młócono zboże ogromną lokomobilą, starając się ukraść przy tym trochę ziaren dla kur, latem pracowano przy żniwach, a jesienią baby chodziły do wykopków zarabiając złotówkę dziennie, czasem 20 gr więcej.

Ludność wsi w większości była katolicka. Tylko 25 procent stanowili prawosławni, żyły też dwie rodziny żydowskie.

We wsi trwały nie kończące się kłótnie: o kury, o podział gruntów, o splaty. Ponad połowa mieszkańców, zwłaszcza kobiety, była niepiśmienna, trochę mężczyzn umiało czytać i pisać po rosyjsku. Soltys też był niepiśmienny, a „powiastki” i inne papiery z gminy doręczał ludzom uprzednio posegregowane i poukładane pomiędzy poszczególne palce u ręki, zależnie od kolejności stojących domostw we wsi. Chaty były kryte słomą, tylko czworaki i domy paru bogatszych gospodarstw miały dachówkę. Plecione z wikliny płoty dzieliły poszczególne posiadłości i półdzikie sadki na odrębne parcelki połączone „przelazami” w pło-

tach. Wszędzie była niesamowita ciasnota, więc w czasie pożaru kawał wsi się wypalało. Mizerny sklepik żydowski, jedyny we wsi, oferował mieszkańcom oprócz śledzi, nafty i machorki, niewielką ilość szpulkowych nici, guzików i mydła „Kogut”. Wieczorami schodzili się do tego sklepiku stateczni gospodarze i obsiadli skrzynki i beczki po śledziach, cmiąc machorkę, gadali i narzekali na kiepskie czasy — nieraz aż do późnych godzin nocnych.

Niemal każdy mieszkaniec miał jakieś swoje przezwiśko, jak mówiono we wsi, był „ochrzczony”. Czasem to ochrzczzenie było trochę dowcipne, a czasem bardzo złośliwe. Dziewoję naszych sąsiadów na przykład przewano „Byczkiem”. Mój kolega ze szkółki został przewany „Mojżeszem”, jeden z sąsiadów „Samowarem”, innych zwano: „Szynka”, „Suchy Wasyl”, „Zyza”, „Syrykupa”,

szedł do sąsiada i obaj medytowali, jak by to przechytzyć sekwestratora. Sąsiad najczęściej robił to tak. Gdy sekwestrator spenetrował wieś z jednego końca, on pozastodolem przeprowadził krowę i jałowkę na motuzku do zamężnej córki, gdzie wizyta urzędnika już się odbyła, i w ten prosty sposób nieraz go przechytrzył. Pamiętam, jak jednego razu nasz ojciec schował sporą swinię do stodoły pod słomę, sekwestrator zaś — czy sam miał dobrego niucha, czy może ktoś nas podpatrzył i mu doniósł, dość że wszedł na tok stodoły i zaczął rochać, udając świniński głos. Swinia w słomie myślała, że to głos jakiegoś partnera, rochnęła kilkakrotnie czule i wszystko się wydało. Nie pomogły prośby matki, że maciora jest prośna. Sekwestrator z drwiną odpowiedział, że swinia jest taka prośna, jak i on, czego na razie wcale nie czuje. I świniaka zagarnął. Podział gospodarstw, splat-

ty, sądy i rejenci to codzienne troski, udry i pieniaństwo. Malżeństwa zawierano nie z upodobaniem, jak to gwarowo mówiono, ale chytrze i z pomyślunkiem. Nie miało wówczas żadnego znaczenia to, że posażna panna była brzydka jak noc listopadowa. Jej wybraniec, najlepszy kawaler w okolicy, z dumą nosił się po wsi, chwając się morgami dziewczyny. Jest u nas we wsi taki sobie S., któremu ongi wystawili dziewczoję „Nastka Latawica”; nawet księdza przewano „Pięknym Jasiem”. We żniwa większość mieszkańców żęła sierpem, ci nieliczni, którzy brali się do kosa, stawiali się przedmiotem drwin i docinków. Mówiono o nich, że Pan Bóg głodem ich ukarze za marnowanie zboża kosą. Nawet owies żęto sierpem, posuwając się do przodu na kłęczkach, a żniwa takie trwały nierzadko trzy tygodnie i więcej. W naszej wsi było kilku kowali, ale tylko jeden potrafił wyrabiać sierpy, toteż w okresie poprzedzającym żniwa, a i w czasie ich trwania, tłum ludzi czekał pod jego kuźnią. Przychodzili z okolicznych wsi, a najwięcej z Bu-ga, tzw. Połeszniczy, naród bardzo biedny, lecz pracowity. Aby wypróbować sierpy, wchodzono na pole kowala i tak po trochu, po snopku, po dwa, niemal co roku zzynano mu za darmo kawał zboża.

Poszczególne kawałki gruntów, mające swoje lokalne nazwy, jak „Podsusze”, „Nowinki”, „Ogniowiec” itp., były rozrzucone w 8—9 kawałkach oddalonych od siebie o kilka kilometrów. Wychodziło się na nie przy żniwach całą rodziną, zabierając ze sobą nie tylko jedzenie w postaci jakiegoś zwaru, soloduchy czy kaptonu na chlebowym kwasie z cebulą, lecz także wodę w dzbankach i hladyszkach, na plecy lokując trójnog z tyczek i wiklinową kołyskę dla dziecka, które taszczone ze sobą nie bacząc na skwar letniego słońca i ciepłość rozmaitych much i komarów. Aby dziecko spało, pojęno je mlekiem, w którym gotowano zwykłą makówkę; odwar działał tak usypiająco, że starsi cały dzień mogli pracować, wcale do kołyski nie zaglądając. Nikt nawet nie przypuszczał, dlaczego we wsi tyle dzieci było półgłupich.

Podstawowymi narzędziami w gospodarstwie, aż do czasu drugiej wojny światowej, były: plug kowalski, drewniane (o żelaznych zębach) brony i pluzek do obrabiania ziemniaków, cep, drewniana szufła do wiania zboża z plew, sieczkarnia z przyczepionym ostrzem kosa do rżnięcia sieczki i ćwierć drewniana z klepek do odmierzania zboża. Często młóciłyśmy zboże z ojcem i bratem w trzy cepy, ale to już trzeba było umieć robić, inaczej można było dostać od partnera bijakiem po rękach, jak nie po głowie, tak że tydzień czasu nie starczało na kurację. Na ogół we wszystkich gospodarstwach wsi omlot żyta z kopy równający się 100 kg był bardzo dobry, co w przeliczeniu na hektar wynosiło 9—10 kwintali, ale bywały lata, kiedy hektar wydawał 6—7 kwintali ziarna. Podatki, jakie rolnik musiał wtedy płacić, były wysokie, toteż nasz ojciec poirytowany mocno, gdy nie miał skąd ich zapłacić, powtarzał: „zaduszka psiakrwie, opryczniki krwiopijcy”, a potem

szedł do sąsiada i obaj medytowali, jak by to przechytzyć sekwestratora. Sąsiad najczęściej robił to tak. Gdy sekwestrator spenetrował wieś z jednego końca, on pozastodolem przeprowadził krowę i jałowkę na motuzku do zamężnej córki, gdzie wizyta urzędnika już się odbyła, i w ten prosty sposób nieraz go przechytrzył. Pamiętam, jak jednego razu nasz ojciec schował sporą swinię do stodoły pod słomę, sekwestrator zaś — czy sam miał dobrego niucha, czy może ktoś nas podpatrzył i mu doniósł, dość że wszedł na tok stodoły i zaczął rochać, udając świniński głos. Swinia w słomie myślała, że to głos jakiegoś partnera, rochnęła kilkakrotnie czule i wszystko się wydało. Nie pomogły prośby matki, że maciora jest prośna. Sekwestrator z drwiną odpowiedział, że swinia jest taka prośna, jak i on, czego na razie wcale nie czuje. I świniaka zagarnął. Podział gospodarstw, splat-

ty, sądy i rejenci to codzienne troski, udry i pieniaństwo. Malżeństwa zawierano nie z upodobaniem, jak to gwarowo mówiono, ale chytrze i z pomyślunkiem. Nie miało wówczas żadnego znaczenia to, że posażna panna była brzydka jak noc listopadowa. Jej wybraniec, najlepszy kawaler w okolicy, z dumą nosił się po wsi, chwając się morgami dziewczyny. Jest u nas we wsi taki sobie S., któremu ongi wystawili dziewczoję od błota i słońca stóp, który z nich nie wlaził celowo w chłody w to, co ciepła krowa nalala na drodze... Ja, jak i wszystkie inne dzieci pasące we wsi, próbowałem również smaku papierosów (kręconych po kryjomu z liści tytoniu, samosiejki), kradzionych z ogrodu ogórków, słoneczników, grochu, „cukrowej marchwi”. Była to twarda szkoła życia, która w wielu przypadkach przechodziła z ojca na syna i trwała (najczęściej dla pastuchów gromadzkich) aż do poboru do wojska. Ojciec mój ukończył cztery oddziały szkoły carskiej i może z tego powodu wygłaszał do mnie po rusku taką sentencję: „Ucz się, mój syn, ucz się, nauka sokraczajet opyty bystro tiekuszczej żizni”, czy też inny slogan: „Nauka swiet — nieuczemienie tma”. Matka umiała zaledwie czytać po polsku i to na dużych literach w kalendarzu (innych wydawnictw nie widziano), a podpisywała

# Życie z biedą

Stefan Sidoruk

ty, sądy i rejenci to codzienne troski, udry i pieniaństwo. Malżeństwa zawierano nie z upodobaniem, jak to gwarowo mówiono, ale chytrze i z pomyślunkiem. Nie miało wówczas żadnego znaczenia to, że posażna panna była brzydka jak noc listopadowa. Jej wybraniec, najlepszy kawaler w okolicy, z dumą nosił się po wsi, chwając się morgami dziewczyny. Jest u nas we wsi taki sobie S., któremu ongi wystawili dziewczoję

się krzyżkami. Niektóre z dzieci pod byle pretekstem opuszczały lekcie, wagarowały, ale ani szkoła, ani rodzice nie mieli im tego za złe. Matka mojego rówieśnika zwanego Mojżeszem mawiała do syna: „dziecino, toż panem i tak nie będziesz”, a że dziecina była watała i często skarżyła się na ból głowy, matka, trochę lekująca, aplikowała mu bańki na czole, po których pozostawały na skórze krwiste koła. Z tych „ozdób” w szkole głośno się wysmie-



„Bywały lata, kiedy hektar wydawał 6—7 kwintali ziarna...”

Fot. Z. Zugał

aż z trzeciej wsi. Przed ślubem pokazano mu jedną z trzech cór tego kmiecia, ponoć najurodziwszą i wiadomo, że bogatą, co przez „żeniucha” przyjęte zostało z zadowoleniem. Dopiero gdy młodego, niczym niedźwiedzia otumanionego przez Cygana graniem, miano odwieźć do ślubu, podstawiono mu inną z sióstr, tę najbrzydszą. Młody S. stanął katem, zaciął się i ani doń podejść. Dopiero drużba z ojcem chrzestnym S. tak go mocno przyparli w sieniach do drabiny wiodącej na strych, tak długo mu klarowali kuksańcami: o morgach, o czerwonych panny młodej, że w końcu się zgodził, musiał się zgodzić. Dziś są ponoć najprzykładniejszym małżeństwem we wsi.

Które z wiejskich dzieci nie pało w zaraniu swego życia krów, które nie przeklinało swego życia, swego losu! Które z wiejskich pastuchów nie pamięta wstawania o wschodzie słońca, swoich opszalych, splekanych

wano, więc chłopak wolał do szkoły nie chodzić.

Suchoty, czy suchoty galopujące jak je wtedy rozróżniano, zbierały zwłaszcza wśród dzieci i młodzieży bogate żniwo. Przy wszelkich zachorowaniach zwracano się najpierw do worożychy (znachorki) lub do baby lekującej. Szeptucha zaklinaniami i gusłami starała się choremu „pomóc”, a czas upływał, choroba się nasilała i na doktora najczęściej było za późno. Z sąsiedniej wsi do inwentarza przywożono znachora, który we wszystkich przypadkach zachorowań zacierał w oczach zwierzęcia „paskudnika”. Na silny ból brzucha, gdy ani piętun, ani kora

Dokończenie na str. 1

Kamena str. 3

# Życie z biedą

Dokończenie ze str. 3

dębowa nie pomagały, matka Mojżesza stawiła baniki, ale dorosły pacjent, jej zdaniem, powinien być leczony baniką większych rozmiarów, na przykład wielkości dzbanka. Chory kładł się brzuchem do góry, wyciągając z portek koszulę, a Ulana sprytnie przy pomocy wiechcia umaczanego w nafcie stawiła mu na brzuchu dzbanek. Obszerne naczynie ssalo, smoktało i wciągało brzuch, a chory najpierw stekał, potem już i poprukiwał wstydliwie. Na koniec z portek wyskakiwało mu przyrodzenie...

Były rzeczy jeszcze okropniejsze. Z przerywaniem ciąży u kobiet za pomocą szpilek od włosów, o czym nie sposób się rozpisywać. I pomyśleć, że takie rzeczy w naszej wsi działy się stosunkowo nie tak dawno! Nasza sąsiadka, ochrzczona „Czarna Panią”, jeszcze do roku 1960 parala się ścieraniem z niemowlęcych ciarek znamion „czarnych myšek”. Jak to robiła, nie udało mi się dowiedzieć ani podpatrzeć, faktem jednak jest, że łatwowierni ludzie przyjeżdżali do niej aż gdzieś z dalekich okolic. Pewnego razu zaferowała mi, kiedy jeszcze byłem kawalerem, że gdybym chciał, to ona tak zrobi, że każda panna, jaką zechcę, sama przyjdzie do mego domu i pozostanie u mnie. Najpierw nie wierzyłem, trochę się wstydzilem, no i po prostu bałem, bo przecież czort to wie, co mogło z tego być. Ale gdyby to tak dziś, to ho, ho, kto wie, czy bym się nie zgodził.

Nauczycielka ucząca pierwszy oddział — do klas wyższych dzieci chodzący do sąsiedniej wsi — kupiła sobie radio lampowe i od czasu do czasu dzieciom, a nawet młodzieży wolno było go posłuchać. Pamiętam, jak nasza babka mówiąc coś o szkole, o dzieciach i nauczycielce, zniżyła głos do szeptu, ponieważ twierdziła, że to uparcie, że to radio „ściąga” i nauczycielka wszystko usłyszysz, co o niej ludzie gadają. Szkoła dla uczniów klas wyższych, będąca utrapieniem rodziców, bo odrywała dzieci od pasienia zwierząt, mieściła się w kilku wiejskich chatkach. Po godzinie nauki trzeba było brać parcianą torbę z kajetem na ramię i boso, a zimą w matczyńskich slubnych trzewikach, drałować do innej chałupy na następną lekcję. „Na szczęście” nauka w cztero-, a później w sześciogodzinnej szkole nie trwała długo, dopiero w 1933 powstał oddział siódmy i ja już musiałem go ukończyć.

Lata 1935 i 1936 to okres, w którym zaznaczył się większy wyjazd ludności do Ameryki. Przeludnienie wsi, kryzys i bezrobocie sprawiły, iż chłop nadbużański z trudem wiązał koniec z końcem. Z mojej wsi wyemigrowało pięciu młodszych gospodarzy, a nasz ojciec też poczynił pewne przygotowania do wyjazdu, ale wiecznie chorowita matka nie chciała się na to zgodzić, więc w końcu musiał zrezygnować z zamysłu.

W roku 1936 nastąpiła w naszej wsi komasacja gruntów, po której połowa mieszkańców przesiedliła się ze wsi na tak zwane kolonie, czy jak to u nas mówią — futury, złożone z kilku domostw, usytuowane daleko od sklepu, od szkoły (bo nieraz powyżej czterech kilometrów), od kościoła, od którego baby szły boso, niosąc obuwie w ręku; dopiero na stonniach świątyni wkładały je na nogi.

Zabawy wiejskie, które się odbywały na klepiskach stodoł lub w większych izbach, obfitowały w mordobicia i krajanie ciała i odziedzy sprężynowymi nożami. Ksiądz ciskając z ambony gromy na złych parafian, nie był w stanie zapobiec nawet temu, że co roku musiał ochrzcić kilkoro nieślubnych dzieci czyli bastruków. W przypadające w parafii odpusty mrowie „wiernych” szukało pocieszenia także na karuzeli, przy straganach, a po południu przy suto zastawionym stole, na którym królował literka, a w zależności

ści od zapotrzebowania — nawet kilka literków „Zubrówki”.

W 1939 gruchnęło po wsi o mobilizacji i zaraz ucichło, bo tylko pozabierano konie. Naszą kobyłę też „zobilizowano”, ale ojciec po pewnym czasie kupił innego konia. Był tak mały, że ojciec, gdy go dosiadł, to mu stopy do ziemi dotykały. A chody to miał takie, że co stąpnie, to ogonem, jak zegar wahadłem, dyndał. Śmieli się z nas, że niby ojciec do Betlelem wyjeżdża.

Naraz przyszła wojna i okupacja. Życie wsi w tym czasie jakby zastygło. Doniero, jak ludność żydowska poczęła uciekać do lasu, jak pojawili się pierwsi zbiteci jeńcy radzieccy, naród się obudził, poczęto udzielać im pomocy, dzielono się żywnością, przechowywano. W mojej wsi jeden z gospodarzy przechował przez całą okupację pewną rodzinę żydowską. Wielu jeńców przy pomocy tutejszych gospodarzy przeprowało się na drugą stronę Bugu i ocalało. Ale spokojna dotychczas ludność prawosławna poczęła wyodrębnić się, tworząc nierzychelnie do Polaków ustosunkowaną społeczność. Nie obeszło się bez pewnych starć i nieporozumień, ale my trzymaliśmy się z wiarą i niepochleliwie, zaś samych Niemców umieliśmy także przechytrzyć. Szarwarki i kontyngenty duszy ludzi do niemożliwości, ale musieliśmy przetrwać.

Potem przyszły nowe dni, pełne trudu, poświęceń i tego, co się zamykało w słowach: jak to teraz będzie? A było tak: Manifest Lipcowy głosił, że ziemia obszarowa stanie się własnością chłona, więc w sąsiedniej wsi (u nas na półkolej ziemi nie było) poczęto dzielić pańską ziemię. Jedni brali, drudzy nie, nie wierzyli, że to może być ich własnością, albo no prostu bali się szentanej propagandy, według której nownie mieli wrócić i wszystko odebrać. Nasz ojciec wahał się, raz brał, to znów rezygnował. Niepewność i pośroki, że rząd będzie robił kolchozy, ujemnie wpływały na rozwój życia wsi. Dopiero gdy poczęto oferować ludności wjazd na ziemię odzyskane, przelamała się jakos bariera nieufności i poczęto wierzyć, że to cośmy odzyskali, to nasze. Poczęło się życie wartkim nurtem, każdy dzień przynosił coś nowego. Z naszej wsi wlechało na zechód kilka rodzin biedniactwa. Kilkoro młodych ludzi poszło do szkół, mój brat — do szkoły rolniczej w Blichu pod Łowiczem, aby w kilka lat po jej ukończeniu zostać agronomen. Ten fakt był wielkim wydarzeniem nie tylko w naszej rodzinie, ale rzutował na całą społeczność, klarował jej sposób widzenia teraźniejszości i zachodzących zmian. Kiedy i kto z nas dawniej mógł przewidywać, że synowie chłopów będą oficerami, nauczycielami?!

Z roku na rok coraz więcej młodzieży szło ze wsi do fabryk, zdobywając zawód, awansując. Ci, co zostali na gospodarstwie, też przechodzili pewnego rodzaju przeobrażenie. Kumiliśmy z ojcem maszyny gospodarskie, kierał, kopaczka, kosiarke, wialnie, potem młockarnie szrotówkę. Sprzedaliśmy tuczniaki, bydło, miód. Stosujemy nawozy sztuczne. Budujemy nowe budynki gospodarskie. Cała wieś z drewnianej przebudowuje się na murowaną. Powstaje we wsi kółko rolnicze i OSP, potem KGW. Budujemy remizę-świetlice, sklepy. Od pierwszych dni wyzwolenia rozpoczyna działalność zespół teatralny: festo reżysyrem jestem do dziś. Dziesiątki spektakli i widowisk folklorystycznych daliśmy nie tylko u siebie, ale daleko poza granicami swego woiewództwa. Budujemy kilkukilometrowy odcinek szosy. Radio i rower są w każdym domu. Potem wkracza wóz ogumiony, wózek dziecięcy, motocykl, oralka i wiele innych rzeczy.

Myślę, że tak spontanicznego rozwoju wsi, podkreślam — spontanicznego, chyba już nie będzie. Aktualne, wielkie zmiany na wsi wypływają już nie tylko z potrzeb danej wsi, gminy czy środowiska, są one i staje się coraz bardziej zagadnieniem całego społeczeństwa, całego kraju.

Kamena str. 4

Stefan Sidoruk

**Z**DARZAJĄ się niekiedy zabawne przeżycia, które z taką mocą zapadają w pamięć człowieka, że mimo znacznej odległości czasowej ciągle stoją, niczym żywe, przed oczyma. Oto dwa z tego gatunku, związane ściśle z dzwicznym hasłem: „Ramigani” (alias: Jan Lawrusiewicz, urodzony 17 sierpnia 1907 r. w Krakowie; od 1974 r. na emeryturze; obecnie w trakcie przeprowadzki z Bydgoszczy do Poznania).

Było to we wrześniu 1970 r. na Lubelszczyźnie. Po obejrzeniu w Kurowie koło Puław atrakcyjnego programu estradowego pt. „Pod gwiazdami Południa” w wykonaniu zespołu gitar hawajskich „Marimba” Jana Lawrusiewicza, późnym wieczorem powróciliśmy we trzech — mistrz „Ramigani”, sympatyczny entuzjasta jego różnorodnych talentów — Czech V. S. z Pragi i piszący te słowa — do Lublina. Byliśmy w pokoju nr 104 miejscowego „Motelu”, zajmowanym przez mistrza, który uległ usilnym prośbom V. S. (mistrzowie lubią być proszeni) i zgodził się zademonstrować trick z dziedzin nader tajemniczej do dziś telepatii. W tym celu poprosił by V. S. — po opuszczeniu przez nas dwóch pokoju — napisał na kartce papieru w swym ojczystym języku dowolne życzenie (możliwe do zrealizowania) i następnie po kilkakrotnym złożeniu kartki schował ją w lewej dłoni.

Gdy wróciliśmy z korytarza, „Ramigani” chwycił jedną ręką za przegub (okolicę pulsu) tej właśnie dłoni V. S., w której wewnątrz spoczywała kartka, zaś drugą za jego kark. Po upływie około 2 minut, podczas których Czech intensywnie myślał o treści napisanego przez siebie życzenia, mistrz poprosił o zdjęcie przeze mnie i V. S. marynarek, po czym moja założył Czechowi, a jego mnie. Tym samym bezbłędnie i co do joty spełnił życzenie V. S., na którego twarzy pojawił się bezbrzeżny zachwyt i także zdumienie. W rezultacie zostaliśmy z mistrzem zaproszeni przez V. S. na kolację. I tu dopiero postawiona została przysłowiowa „kropka nad i” do owej sytuacji telepatycznej. Otóż Czech tak bardzo zadumał się nad niezrozumiałym dlań efektem „Ramiganiego” z pokoju nr 104, że na naszych oczach zjadł połowę jajka faszerowanego ze skorupą.

Minęło kilkanaście dni. „Ramigani” dawał solowy koncert iluzji w lubelskim klubie „Nora”, podczas którego wykonywał m. in. trick z użyciem straszaka: „magiczny” strzał miał podkreślić efekt

końcowy zabawnego triku. Widzowie w wielkim napięciu śledzili niezwykle manipulacje, ale w ułamku sekundy po oddaniu głośnego strzału gwałtownie odwrócili głowy w stronę barku w kącie sali, bo tam, wywołując ogromny rumor, spadł ze stołka jeden z miejscowych dziennikarzy. I w tej zupełnie nieoczekiwanej sytuacji „Ramigani” wykonał znakomity refleks mówiac — niemal natychmiast po upadku niefortunnego wielbiciela Bachusa — „nie wiedziałem, że tak celnie strzelam”. Widzowie gruchnęli śmiechem, czemu towarzyszyły huraganowe oklaski. A po programie „Ramigani” poczesował autora niniejszego tekstu następującą sentencją K. Radsy'ego: „Nie ten wygrywa, kto pierwszy strzela, tylko ten, kto strzela celnie”.

O ile w zakresie muzyki otrzymał Jan Lawrusiewicz staranne wykształcenie (5 lat nauki w krakowskim Konserwatorium Muzycznym, gdzie pobierał lekcje gry na skrzypcach u prof. Władysława Syrewicza, jako dodatkowy instrument wybierając fortepian), o tyle w dziedzinie iluzji był od początku samoukiem. Nie znaczy to, że nie korzystał — zresztą w różny sposób — z doświadczeń sławnych mistrzów magicznej pałeczki. Z iluzją zetknął się w wieku 12 lat, gdy jako uczeń IV Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Krakowie obejrzał występ sławnego wiedeńcyka „Alfredo Uferini” (wel: Alfred Ufer, 1863—1934). Niektóre jego tajemnice rozszyfrował sam, a większość podpatrzył z niemalym trudem i w bardzo osobliwych warunkach. Iluzjoniści zawsze strzegli przed osobami postronnymi swych tajemnic repertuarowych. Nie tedy dziwnego, że „Uferini”, występując na scenie operetki krakowskiej (podówczas przy ul. Rajskiej), używał specjalnego parawanu, który uniemożliwiał podglądanie jego pracy od strony kulis. Toteż Lawrusiewicz musiał przeleżeć nieruchomo na dwóch deskach nad sceną przez 6 godzin, by pewne zagadki iluzjonistyczne stały się także jego własnością. Innym razem podpatrywał „Uferiniego” z budki suflera. Postenował zgodnie z przysłowiem kambodżańskim, które głosi: „Jeżeli chcesz wszystko zobaczyć, musisz sam pozostać niezauważony”. I wielokrotnie mu się to udawało.

Pierwsze amatorskie występy iluzjonistyczne dawał na wieczorkach gimnazjalnych. Po 4 latach dysponował już 25-minutowym repertuarem. Miał w tym czasie w Krakowie okazie oglądać (i podglądać) oprócz „Uferiniego” rów-

## U ŹRÓDEŁ

## ROSYJSKICH WIERSZY

## BOLESŁAWA LEŚMIANA

Alina Orłowska

**W**LATACH 1906—1907 ukazały się w rosyjskich czasopiśmie symbolistycznych trzy cykle wierszy Bolesława Leśmiana: „Pieśni Wasylijsy Priemudroj” (w piśmie „Zołotoje Runo” nr 11—12/1906 r.), „Lunnoje podchmielie” (w piśmie „Wisny” nr 10 z 1907 r.) i „Wolny żywyje” (w periodyku „Pieriewal” nr 11/1907). Rosyjskie wiersze Leśmiana nie przeszły bez echa. Ich autor został zauważony i uznany jako poeta. W piśmie „Apallon” (nr 5/1912 r.), jak już wcześniej zwrócił uwagę O. Juniewicz, zachowała się notatka następującej treści:

Polski poeta Bolesław Leśmian, znany i w literaturze rosyjskiej, przygotował przedruk wierszy K. Balmonta, które będą wydrukowane wraz ze studiami krytycznymi o jego twórczości.

Leopold Lewin we „Wspomnieniu o Leśmianie” podkreśla, że wiersze polskiego poety zostały umieszczone w antologii poezji rosyjskiej, a Leśmian figuruje w niej jako poeta rosyjski.

Należałoby się zastanowić nad faktem, co skłoniło Bolesława Leśmiana do twórczości w języku rosyjskim?

Bolesław Leśmian spędził lata szkolne i studenckie w Kijowie. Znal więc dokładnie język rosyjski i literaturę rosyjską. Brał w tym czasie aktywny udział w miejscowym życiu kulturalnym i literackim. Tak więc, może czynikiem, który spowodował powstanie wierszy rosyjskich, były przeżycia związane z Kijowem?

Lata 1901—1907 to okres kontaktów Leśmiana z poetami rosyjskimi. W Paryżu B. Leśmian poznał K. Balmonta. Obu poetów wiązały nici głębokiej

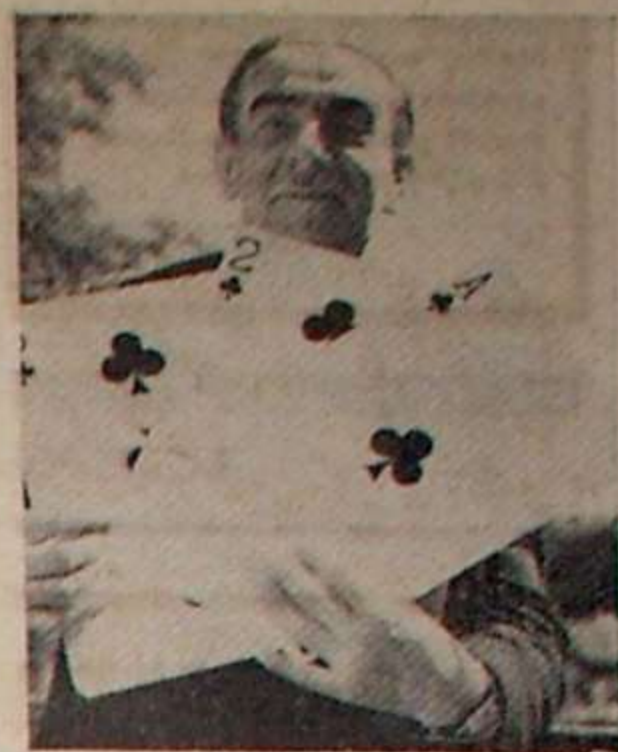
niez innego słynnego wiedeńcyka, Freda Röhnera i Niemca o nazwisku Alois Kassner (zmarł kilka lat temu w RFN). Wzbogacony o rekwizyty magiczne kupione od Hemzaczka — który był pracownikiem krakowskiego Teatru Miejskiego im. Juliusza Słowackiego — po kilku latach ćwiczeń i amatorskich występów zdał w 1927 r. w sławnym wiedeńskim warietè „Ronacher” — egzamin, uzyskując legitymację iluzjonisty zawodowego. Zyskał tym samym uprawnie-

powiedział autorowi tych słów, że „Ramigani” oznacza „urocza pieśń”. Sam mistrz, noszący ów pseudonim artystyczny, twierdzi, że przybrał go od nazwiska jednego z joginów indyjskich z zamierzchłej przeszłości. Nie był to wybór przypadkowy, długo bowiem jego program miał oprawę sceniczną w stylu orientalistycznym. Występował też w stroju średniowiecznych magów oraz z całkowicie chińskim programem pt. „Mandaryn Chung-Foo”, także po drugiej woj-

ze znakomitym zespołem muzycznym, w którego skład wchodził m. in. Zygmunt Karasiński, Szymon Katuszek i Tadeusz Kwieciński. Z zespołem tym odbył pięciomiesięczne tournée po kilku krajach: Syrii, Egipcie, Palestynie i Włoszech. Spopularyzowanie w Polsce gitar hawajskich, a w pewnym sensie nawet zespołów gitarowych, to też jego ewidentna zasługa.

Ponieważ „pierwsza miłość nie rdzewieje”, nigdy nie rozstał się z wykonywaniem zawodu iluzjonisty. Również pod koniec drugiej wojny światowej pracował w Zakopanem, Krakowie i Warszawie, chociaż niezbyt często i wyłącznie na porankach dla polskiej publiczności. Godne podkreślenia jest to, że w 1943 r. na scenie Teatru Rozmałości w Warszawie pokazywał „zniknięcie konia” (żywego), co demonstrował też po wyzwoleniu w sali zakopiańskiego „Morskiego Oka” (1946—1947) i w Krakowie. Jak dotąd, żaden inny polski iluzjonista nie miał tego numeru w repertuarze. W pewnym sensie był więc Lawrusiewicz „polskim Kassnerem”, który robił taki numer również ze słoniem. Niestety, nie mogę przedstawić czytelnikom szczegółów owego efektownego tricku.

Po wojnie współpracował dłuższy czas z krakowskim „Artosem”, dając recitale iluzji scenicznej cieszące się niebywałym powodzeniem. Na przykład w Warszawie miał 48 imprez z tym samym programem przy wypełnionej szalenie publicznością sali. No i, oczywiście, wspomnieć trzeba o najgłośniejszym w latach 1947—1953 duecie: „Nemo” contra „Ramigani”. Nie był to zresztą pierwszy kontakt obu indywidualności, bo z „Nemo”, czyli z Juliuszem Konczyńskim, Lawrusiewicz nawiązał współpracę już w latach międzywojennych. Jeżeli dodamy do tego rejestru fakt, że „Ramigani” dwukrotnie pracował w cyrku — po raz pierwszy przez siedem dni zastępował w Poznaniu mistrza „Nemo” i powtórnie przez trzy miesiące w Gdańsku i Szczecinie na arenie „Cyrku Wielkiego” — oraz to, że przez całe dwa ostatnie dziesięciolecia pracował jako kierownik estradowego zespołu gitar hawajskich i zarazem muzyk-solista oraz iluzjonista, robiąc wiele zawsze udanych tournée artystycznych po Polsce (a także po NRD), wtedy dopiero uzyskamy przybliżony obraz działalności wybitnego artysty estrady: „Ramigani” — Lawrusiewicz.



Fot. J. Trembecki

Wertując drukowane programy mistrza, obok „zniknięcia konia” znajdujemy nazwy innych jego oryginalnych tricków iluzjonistycznych, jak: „Kalendarz Ramiganiego” czy „Taniec szkielecików”. Przed wojną „Ramigani” demonstrował publicznie iluzję kataleptyczną, bo i hipnotyczne umiejętności nie były mu obce. Ale to raczej epizod w tej niezwykłej biografii, w której znajdujemy także przedsięwzięcia natury organizacyjnej. Jest bowiem Lawrusiewicz członkiem — założycielem Krajowej Sekcji Artystów Iluzji (nr legitymacji i znaczka 4).

Jan Lawrusiewicz jest zdania, że iluzja „sprzedawana” rzemieślniczo to po prostu zero. Holduje on maksymie Stanisława Jerzego Leca: „Streszczajmy się, świat jest przepelniony słowami”. Imperatyw ten stosował zawsze w swoich programach, w których było i jest około 70 proc. pantomimy, a zaledwie 30 proc. słów: jedrnych, klarownych i koniecznych. Jako długoletni praktyk uważa, iż najtrudniej przycięła się nie wady, ale nawyki. O jasnowidzach powiada z przekąsem, że są to zazwyczaj ciemne typy. Radzi wszystkim iluzjonistom na świecie, aby unikali tzw. „lewitacji pospolitej”, czyli — unoszenia się gniewem. A największa jego tajemnica w dziedzinie iluzji jest, niestety, z gatunku tych, których nie można powiedzieć nikomu.

# RAMIGANI

## Marek Zdrojewski

nia do nabywania rekwizytów magicznych w znanych europejskich firmach, jak Klingl (Wiedeń), Bartl (Hamburg) czy „Conradi” — Horster (Berlin).

Po złożeniu egzaminu w Polskim Związku Artystów i dowiskowych w Warszawie (1928) zdobył prawo wykonywania profesji iluzjonisty w Polsce. Najwyższej europejskiej klasy polski iluzjonista „Jacobini” (alias: Jakub Kantorowicz, który zmarł na udar serca w okresie międzywojennym w Warszawie przed wejściem do cyrku przy ul. Ordynackiej), zasiadający wtedy w komisji egzaminacyjnej, zaproponował mu współpracę. Z tej wyróżniającej oferty Lawrusiewicz jednak nie skorzystał.

Od tej pory coraz powszechniej znane stało się jego nazwisko sceniczne „Ramigani”. Pewien znajomy indolog

nie światowej, m. in. w krakowskiej kawiarni „Cyganeria” przy ul. Szpitalnej 38.

Równolegle zajmował się Jan Lawrusiewicz działalnością muzyczną, też zaprawioną w poważnej mierze egzotyką. Grał m. in. na tak ekscentrycznym „instrumentcie”, jak piła do cięcia drzewa, którą jednocześnie, już jako „Ramigani”, potrafił „przeciąć” na oczach publiczności żywą kobietę na dwie części. Spośród obecnych polskich iluzjonistów na takiej pile potrafi grać również „Jur” — Jerzy Strzelecki z Wrocławia. Warto też przypomnieć, że to właśnie Lawrusiewicz w 1924 r. pierwszy sprowadził do Polski gitarę hawajską, wibrafon oraz marimbę i na wszystkich tych instrumentach był pierwszym u nas solistą. W latach 1931—1936 współpracował

przyjaźni. Leśmian recenzował, jak wiadomo, przekłady Słowackiego dokonywane przez Balmonta. Wynikami ich znajomości miał być nie znany dramat o Busławiewie, bohaterze bylin rosyjskich (pisze o nim Leśmian w liście do Briusowa z 7.08.1907 r.).

Mnie najbardziej wiarygodna wydaje się wersja, którą podaje Włodzimierz Słobodnik we wspomnieniu „Pieśni mimowolne”. W rozmowie z nim B. Leśmian powiedział:

W swoim czasie napisałem sporo wierszy w języku rosyjskim. Zapyta pan jak powstały? Otóż założyłem się z poetą rosyjskim pochodzenia Władysławem Chodasiewiczem, że napiszę cały cykl dobrych wierszy w języku rosyjskim. Chodasiewicz miał napisać cały cykl wierszy w języku polskim. W ten sposób powstały moje wiersze rosyjskie i kilka wierszy polskich Chodasiewicza.

Leśmian nie mówi, jakie wiersze powstały dzięki temu zakładowi, ale motywy, które skłoniły poetę do pisania w języku rosyjskim zostały tu przy najmniej częściowo wyjaśnione.

Rosyjskie wiersze Bolesława Leśmiana nie były początkiem jego twórczości. Debiutował w 1895 r. w „Wędrowcu”. Do czasu ukazania się wierszy rosyjskich posiadał już pewien dorobek artystyczny.

Wiersze rosyjskie zostały opublikowane w czasopiśmie symbolistycznym. Interesujący jest więc stosunek poetyki tych cykli do poetyki symbolizmu.

Zagadnienie to rozpatrzmy na podstawie dwu cykli: „Wolny żywycje” i „Lunnoje podchmielie”. Trzeci cykl, „Pieśni Wasylisy Priemudroj”, został opracowany przez J. Trznadla („Rosyjskie wiersze B. Leśmiana”, „Twórczość” nr 1/1981) i S. Pollaka („Niektóre problemy symbolizmu rosyjskiego a wiersze rosyjskie B. Leśmiana”, „Twórczość” nr 12/1982).

Bolesław Leśmian stworzył bardzo oryginalny świat poezji nie podporządkowany żadnemu z ówczesnych manifestów literackich, chociaż w jego poezji można doszukiwać się wpływów różnych nurtów,

Z symbolizmem był Leśmian związany stosunkowo długo i filozofia symbolistów znalazła oddźwięk w jego twórczości. Był zwolennikiem koncepcji istnienia dwu światów: idealnego i realnego. Świat realny był dla niego tylko odbiciem idealnego. Idealną rzeczywistość według niego można było poznać tylko jako „sen o niej” lub przez śmierć. Z tego wynika charakterystyczny dla Leśmiana dualizm.

W pierwszym wierszu cyklu „Wolny żywycje” poeta zestawia obrazy świata realnego i idealnego. Ten drugi obraz to negacja pierwszego. Jednocześnie Leśmian podkreśla nierealność i stabilność świata idealnego: *Wszysto tam wieczno i własto Bieskonieczno, biesstrasno Ja biez smierti choczu umieriet*

Zestawienie (w wierszu „Lunnoj letopisiec”) obrazu poety-obszwaratora i tajemniczego „letopisca” („stoletnij”, „odinekij”), który doskonale zna ludzi, ich marzenia, ich życie odzwierciedla pogląd Leśmiana na istotę pracy twórczej. Poezja do swobodnego rozwoju potrzebne jest natchnienie, jakaś idea — a tę można znaleźć tylko w świecie irracjonalnym:

*A ja biessnojoj nocz’ju Sledia jowo waocz’ju Garia nocnym ogniom Piszu o niom.*

Podwojenie w wierszu „Nocz” (cykl „Lunnoje podchmielie”), sprawia, że nastrój wiersza przepelniony jest świadomością istnienia innego niepoznawalnego świata. Para bohaterów w pewnym momencie zdaje sobie sprawę z faktu, że oprócz nich przy oknie znajduje się jeszcze ktoś, kogo nie są w stanie zobaczyć, ale obecność tej istoty sprawia, że świat staje się ciekawszy, a nawet zwiększają się możliwości jego poznania („tiepier — widnieje son”).

Czasami trudności sprawia wyodrębnienie części składowych podwojenia („Polumiesiac nad rakitoj”). Niebo — to symbol świata idealnego, fale — to ziemiska rzeczywistość. W pewnym momencie wrażeń obu światów nakładają się tworząc niepodzielny obraz:

*A w riekie smieszawszys’ plotno Pleszczet niebo i wojna. Niebo pleszczetsja s wolnoju Wolny chodiat w niesiasacn.*

Dla pełnego wyrażenia założeń wyznawanej filozofii Leśmian wykorzystuje specyficzną metodę — pokazuje zjawiska świata poprzez pryzmat snu. W takim wypadku zarówno poeta jak i odbiorca dostrzegają nie zjawiska, a ich odbicie, ich cień, który jest jednocześnie ich istotą (wiersz „Dwa bielnye kryla”).

Ważnym elementem poetyki Bolesława Leśmiana jest wyeksponowanie szczegółu. Eliminacja pewnych elementów przedstawionej rzeczywistości, a przez to wyolbrzymienie innych, daje efekt niesamowitości, nadaje utworom specyficzny baśniowy koloryt.

W wierszu „Nocz” wyeksponowane są dłonie bohaterów, a nawet tylko cienie dłoni. I te dłonie to jedyna cecha, którą Leśmian obdarza swoich bohaterów.

W drugim wierszu cyklu „Wolny żywycje” na plan pierwszy zostało wysunięte wspomnienie jakiegoś spotkania, a właściwie drobnych szczegółów dotychczasowego spotkania (słońce, rzeka, spotkanie z kimś). Tego typu wyeksponowanie pozwala określić wartość i istotę zjawisk. Po latach w ludzkiej pamięci zachowują się tylko okrucy wrażeń, które świadczą o znaczeniu dla człowieka tychże.

We wszystkich prawie utworach Leśmiana omawianych cykli spotykamy się z elementami przyrody. Stosunek poety do przyrody jest specyficzny. Przyroda — to prabyt. Jednostka ludzka to element wtopiony w wieczną przyrodę. Odnalezienie istoty człowieka jest możliwe tylko w ścisłym kontakcie z przyrodą.

Leśmian personifikuje zjawiska przyrody (w wierszu „Nocz” — personifikuje noc, mrók, strumień). Pozwala to poecie tworzyć dynamiczne i przepojone liryzmem obrazy przyrody. Przyroda ma możliwość dotarcia do istoty rzeczy, do prabytu, do idei:

*On (ruczej) oglublion w siebia, i griozoj-obiessljen,*

*i kraj rusalocznyj on widit w polusnie.*

Kontakt z przyrodą jest dla człowieka — bohatera lirycznego niezwykle istotny. Pozwala on ja-lirycznemu na poznanie otaczającego go prabytu („Nocz”).

Głęboki związek z naturą daje jednostce swobodę i szczęście — sen z wiersza „Bieglyj son” nie powróci do człowieka — świata realnego. Sen — marzenie, który raz był wolny pragnie zachować swoją wolność.

*Ja uze nie tvoj, ja nie drug toski Ja swobodnyj Son goluboj reki!*

Symbolizm, jako prąd literacki wyrósł na gruncie filozofii Schopenhauera, Macha, neokantystów — a więc programowo propagował skrajny indywidualizm i metafizykę.

Najbardziej wyraźnie w wierszach rosyjskich B. Leśmiana pierwiastek metafizyczny występuje w tekście „Nowolunniczy”. „Nowolunniczy” — to tajemnicze istoty tańczące nocą w cieniu przy księżycu. Czego wyrazem są te zjawy — pragnienia szczęścia, miłości, piękna?

Związek z nimi daje bohaterowi szczęście, ale specyficzne — miłość je zabija. Nie można więc dotrzeć do rdzenia istnienia, nie można poznać niezbadanej prawdy. Można tylko cieszyć się najbardziej zewnętrznymi oznakami jej poznania, a i za to trzeba drogę zapłacić.

Pragnienie szczęścia, dotarcie do istoty niezbadanego jest dla człowieka piękne i okrutne zarazem:

*No ot lask i ot wstecz umirajut anie, Za czetoj zalataja czeta...*

Wiersze rosyjskie Bolesława Leśmiana są więc interesującym zjawiskiem literackim. Polski poeta napisał w języku obcym dla niego trzy dobre cykle wierszy, które znalazły uznanie wśród współczesnych nosicieli tego języka.

Musimy swoją Ojczyznę  
pachnącą różami i chlebem  
wśród nakryć własnym sercem  
jak gdyby drugim niebem

JAN POCEK

# ZAPOLIA

KOESPONDENCYJNY KLUB MŁODYCH PISARZY — OŚRODEK LUBELSKI PRZY ZW ZSMP

## IV BIESIADA LITERACKA

**N**IE minął jeszcze rok od III Lubelskiej Biesiady KKMP (która odbyła się w dniach 2-3 X ubr. w Puławach) i nie zatarły się jeszcze w pamięci jej dyskusje nt. najważniejszych form pracy młodych twórców, wraz z publikacją zbiorową lubelskiego ośrodka pt. „Spotkania”, wydana z tej okazji — gdy LO KKMP pod patronatem ZW ZSMP w Lublinie wspólnie z innymi placówkami oraz instytucjami współpracującymi z Komisją Kultury ZW ZSMP, przystąpiły do organizacji IV Lubelskiej Biesiady Literackiej.

IV Biesiada odbędzie się w dniach 7-9 lipca br. w Uniwersytecie Ludowym ZSMP w Gardzienicach. Miejsce nie jest przypadkowe, od lat bowiem LO KKMP prowadzi żywą współpracę z gardzienicką placówką, szkolącą gospodarzy i kierowników klubów „Ruchu” i „Rolnika” Lubelszczyzny oraz aktyw młodych na-

uczycieli i instruktorów parających się działalnością kulturalną na wsi.

IV Lubelska Biesiada Literacka w założeniach organizatorów stanowi ma nie tylko okazję do podsumowania dotychczasowego dorobku lubelskiego ośrodka młodoliterackiego, lecz także poszukiwania najważniejszych form popularyzacji jego dorobku. W trakcie Biesiady wiele spotkań z wybitnymi pisarzami oraz krytykami poświęconych zostanie sprawom doskonalenia warsztatu młodych.

Do udziału w IV Biesiadzie obok młodych twórców Lubelszczyzny i sąsiednich ośrodków KKMP, zaproszeni zostali laureaci ogłoszonego w kwietniu br. przez LO KKMP konkursu pod hasłem „Lubelszczyzna współczesna — region, praca, młodzież”, na który wpłynęło około stu prac od kilkudziesięciu autorów z całej Polski.

Uczestnicy spotkają się również z twórcami ludowymi naszego regionu celem twórczej konfrontacji; dyskusje będą nt. związków plastyki z literaturą, w poszukiwaniu najważniejszej formuły działalności młodych twórców o różnych pasjach artystycznych oraz formach ich realizacji, pod patronatem ideowym ZSMP.

Tradycyjny już „Turniej Jednego Wiersza”, towarzyszący każdorazowo Biesiadzie, umożliwi prezentację twórczości jej uczestników, którzy odbędą również liczne spotkania w okolicznych klubach. Biesiadzie towarzyszyć będzie także wystawa prac młodych artystów lubelskich.

W b.r. minie 10 lat od ukazania się „Zapola”. Mamy nadzieję, iż gościnnie „Kamena” umożliwi dalszą prezentację na swoich łamach rezultatów twórczych poszukiwań oraz osiągnięć młodych, w tym również poklosia konkursu oraz zagadnień emawianych w czasie IV Lubelskiej Biesiady Literackiej.

## NOTUJEMY

W bieżącym roku funkcje przewodniczącego Krajowej Rady Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy objął dr Krzysztof Zuchora z Warszawy, b. przewodniczący Mazowieckiego Ośrodka KKMP. Dotychczasowy przewodniczący, kol. Edward Zyman, pozostał nadal członkiem Krajowej Rady KKMP.

7 czerwca br. na zebraniu Klubu dokonano wyboru nowego Zarządu Lubelskiego Ośrodka KKMP. Przewodniczącym został wybrany jednogłośnie kol. Stanisław Żurek. W skład Zarządu weszli kol. kol.: Anna Kister, Leonard Gorski, Jerzy Misiec oraz Andrzej Mistura. Na podkreślenie zasługuje młody wiek członków nowo wybranego Zarządu, z których dwie osoby są aktualnie uczelniami liceów ogólnokształcących. Ustalono, iż Zarząd będzie równocześnie funkcje kolegium oceniającego teksty członków ośrodka publikowane w almanach i dodatkach. Do tegoż kolegium wybrano także kol. kol. Zbigniewa Fronczka i Jerzego Jedziniaka. Nowo wybrany Zarząd zorganizował już IV Lubelską Biesiadę Literacką, precyzując również roczny plan pracy ośrodka.

W tegorocznej XXXIX Łódzkiej Wiosnie Poezji kol. Waldemar Michalski za zestaw wierszy zdobył kolejną nagrodę — wyróżnienie. Gratulujemy.

W konkursie Kola Młodych i WDK w Lublinie o Laur Lubelskiego Koziołka zasadniczej nagrody — Koziołka — nie przyznano. Trzy drugie nagrody w dziedzinie poezji otrzymali kol. kol.: Zbigniew Fronczek, Cezary Listowski oraz Dominik Opolski. Trzy trzecie zdobyli: Piotr Grauman, Waldemar Michalski i Jerzy Misiec. W dziedzinie prozy wśród zdobywców II nagród jest kol. Stanisław Lukowski. W ten sposób potwierdzony został niemal tradycyjny skład zwycięzców konkursów z Lublina.

Nieregularnie działająca grupa poetycka Samsara w składzie Z. Fronczek, T. Kwiatkowski-Cugow, R. Sredniewa, J. Kobuszewski postanowiła przyznać nagrodę Samsarowego Pegaza za najlepszy debiut poetycki roku 1976. Pierwszym laureatem został Marek Kusiba, autor tomiku pt. „Tratwa”, wydanego przez Wydawnictwo Lubelskie. Inicjatywa godna poparła.

Stanisław Królik, przewodniczący lubelskiego Kola Młodych, od 15 czerwca br. podjął pracę w redakcji „Trybuny Zakładowej”, która ukazuje się w Bielskiej Podlaskiej. Życzymy twórczych osiągnięć w nowej dziedzinie pracy informacyjnej równocześnie, iż w piśmie tym pracuje również kol. Ryszard Kornacki.

J. J.

Cezary Listowski

### OCEAN

tylko po  
co do łodzi  
a  
i tak  
zatonąć

Stanisław Piotr Gaszyński

### ODEJŚCIA

poród zaczyna się ukłuciem  
potem ból serca narasta  
wreszcie ktoś wychodzi  
z opuszczonej głową  
pierworodnego  
przesznika

wichury kamienieją  
w szczelinach  
jak bogowie  
epikura

### OGRÓD

Przekwitają róże wiatrów. Piękna  
suka wdycha w uroku natury.  
Maciejka wszczęła niepokój  
miłosny.  
Na granicy rabatki zbieram  
w skupieniu myśli.  
Lupina czaszki wypełnia się zwołna.  
Aż się przysypie.  
Oto ten, który gardził  
przekleństwem niebezpieczeństw  
zgarbiam starannie okruchy  
cierpliwości. Pomyśleć. Gotuję się  
na nagłą konieczność złego  
losu. Tej choroby  
co wisi siatka pająka jak  
nad Jurandem. Krzyżacy tęku  
już zbiegają do największej  
komnaty serca. Już w żyłach  
oreźnie i srebrnie,  
a w tętnicach tętent tętni.  
Jaśnieje, jaśnieje umysł.  
Aż się niepokój przesili.  
Rozwaga i czekanie w rynsztunku.  
Czekanie chwili.  
Najdogodniejszej.  
Przekwitają róże. Pies  
wdycha sennie. Maciejka  
plonie z miłości.

Grażyna Kister

### UŚMIECH

uśmiech  
zwykła kalkomania  
na czyją twarz ją przyklepimy  
na czyją  
na czyją

sprzedają uśmiechy

po złotówce ię do starych  
po forsy  
jeśli starzy mają miękkie serca

po dwa do przełożonych  
— jesteśmy tacy mili

tanie  
jak ziemniaki  
jak woda  
na czyją twarz  
na czyją

sprzedają tanio  
dostępnie dla każdego

o pan się uśmiecha  
pan nie ode mnie nie kupował  
jak pan to zrobił  
receptę kupię za każdą cenę

Ryszard Kornacki

### NA CO JESZCZE LICZYCIE

wy  
którzy wieczorem  
śliczycie  
na kulawym stolku przeżyć  
własnej imaginacji  
wy  
którzy z uciskiem w skroniach  
i bliskiem w oczach  
słuchacie wolnej europy  
wy  
którzy tyle już lat  
zaślepieni  
nosicie dynamit w sercach  
a radości zardzoście  
synom i wnukom  
na co jeszcze liczycie  
niemi  
ślepi  
nieczuli  
jak uschnięte gałęzie  
czekacie na manę z nieba

Bolesław Wl. Momot

### BASI

tak daleko zanurzę spojrzenie w  
głębę serca  
aż zerwę zasłonę z ukrytego uczucia  
będziesz płakała —

gdy przyjdzie wyzwanie  
miłości rzucić  
twarz okrywasz warstwą wstydu  
gdy serce nie ma już siły się  
sprzeciwić

a ty — —

taka cicha  
że ledwie można wierzyć  
że istniejesz

i mila — — —

dobrocią tak dalece  
spowita  
że nie można  
zapomnieć ciebie

## Opowiadania Zbigniewa Strzałkowskiego

ZPOLEK księgarskich szybko znika, bez potrzeby specjalnej reklamy, tom opowiadań Zbigniewa Strzałkowskiego pt. „Odmienianie czasu”. Ciekawostką towarzyszącą tej książce jest fakt, że okładkę, obwolotę i ilustracje do niej wykonał sam autor opowiadań. Pozytywnie zrealizowało staranie i estetycznie Wydawnictwo Lubelskie, które miewa czasem swoje edytorskie „wzloty”, ale także „poślizgi”.

Debiut prozatorski Strzałkowskiego to jeszcze jedno oblicze znanego grafika, poety, publicysty i działacza społecznego. Na książkę złożyło się dziewięć opowiadań o bardzo różnej tematyce, np. losy mieszkańców Domu Dziecka w pierwszych latach po wyzwoleniu („Kapucynek”), tragiczne, ale ostatecznie zwycięskie zmagania udojonego aktora z nastojem pijactwa („Za murami jest gorące słońce”), wreszcie kilka opowiadań poświęca Strzałkowski przeobrażeniu osobowości mieszkańców współczesnej wsi polskiej („Dzieńcie psieców”, „Starzy umierają w ciszy”, „Odwiedziny” i inne).

Istotnym i znamionym problemem wokół którego konstruowana jest fabuła tych opowiadań, to kwestia moralnej odpowiedzialności człowieka wobec człowieka, bynajmniej nie w wymiarach narodowych czy kosmicznych, ale tych niemal intymnych, w układzie „ja-ty”, „ja-ona”, „ja — ojciec, matka”. Należy zgodzić się ze Strzałkowskim kiedy stwierdza:

Dziś bardziej nas fascynuje skomplikowany lot laboratorium w przestrzeń międzygwiazdową, aniżeli los człowieka ucielnianego w ziemi. Jednak cokolwiek byśmy powiedzieli o wszechświecie, prawda jest, iż jego centrum stanowi człowiek. Tam, gdzie się znajduje, staje się centrum krajobrazu. Jest ruch, myślenie i działanie.

(„Starzy umierają w ciszy”)

Głęboko humanistyczna jest wymowa utworów Strzałkowskiego. Bohater jego opowiadań, przechodząc różne życiowe próby, nie stara się w bagno, wybiera ostatecznie nową drogę dalszej nadziei, przywracając sens działania i wiarę w godność człowie-

ka. Upaść może każdy, ale zwyciężyć swoją słabość, podnieść się, to właśnie znaczący być człowiekiem — i taki jest mechanizm działania bohaterów tych utworów.

W opowiadaniach Strzałkowskiego nie ma naiwnego dydaktyzmu, nie ma szablonów ani też. Jest autentyczna relacja autentycznego człowieka — prowadzona często w pierwszej osobie. Bohater i narrator nie rzadko utożsamiają się, stanowią jedną osobę, stąd proza Strzałkowskiego w wielu utworach przypomina tak chętnie czytane dziś wszelkiego rodzaju pamiętniki i listy, niemal wznajęła. Ten typ prozy ma niewątpliwie wielu czytelników, może dlatego, że obserwując odkrywając innych, poznajemy, a niestety zbyt często usprawiedliwiamy siebie.

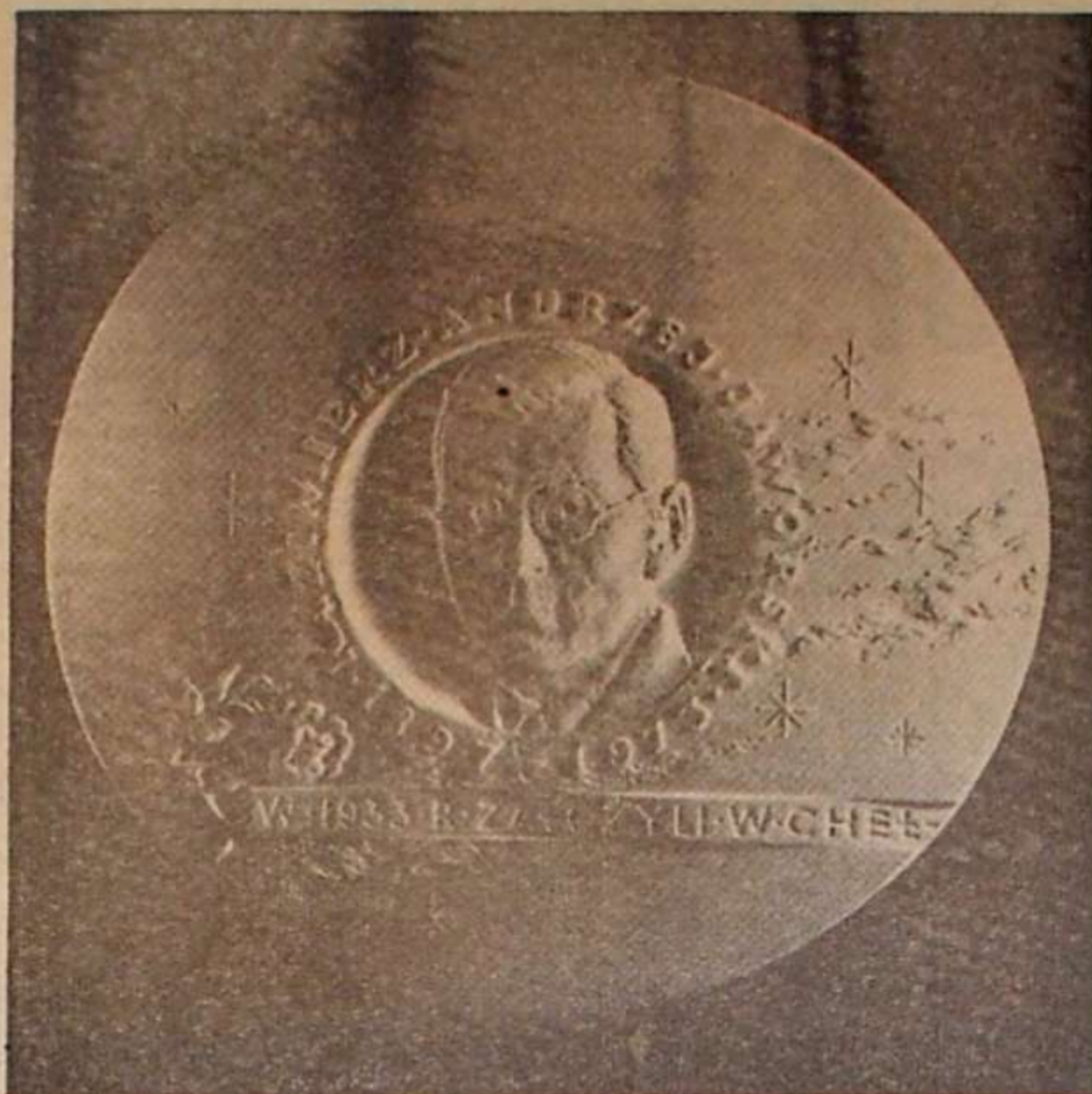
Opowiadania Strzałkowskiego to także niemal scenariusze filmowe. Szybka dynamiczna akcja, łączący systemy wyznaczenia i zagębiania się faktów i wątków. Bohaterowie charakterystyczni sami w działaniu i pozornie niezależnych wypowiedziach — dialogach lub monologach. Narrator jest jedną z postaci utworu. Informacje uzupełniają je są krótkie i lańdarskie.

Bohater lub dyskretny narrator w prozie Strzałkowskiego bardzo swobodnie porusza sobie z chronologicznym układem wydarzeń. Czas teraźniejszy i przyszły dokonany nakładają się, przenikają i wywołują w relacjach — wspomnieniach. Wznajęta to niezwykle i uatrakcyjnia kompozycje utworu. Bohaterowie odwołują się do przeszłości z perspektywą dnia dzisiejszego. Poznawamy ich przez przeszłość i teraźniejszość niejako w perspektywie osnórsmielnej. Jest to zabieg znamienity dla prozy Strzałkowskiego, choć nie nowy i raczej charakterystyczny dla twórczości nurtu psychologizującego.

Waldemar Michalski

Zbigniew STRZĄLKOWSKI: Odmienianie czasu. Lublin 1977. Wydawnictwo Lubelskie, 87. s. 208, nakład 1 135. 850. Cena 21 zł.—

# ZAŁOŻYCIELE „KAMENY”



**W**TROSCE o popularyzację wiedzy o regionie Oddział PTTK w Chełmie od szeregu już lat wydaje medale pamiątkowe poświęcone wydarzeniom historycznym i postaciom związanym z postępowymi tradycjami ziemi chełmskiej. W niedługim czasie ma ukazać się kolejny medal upamiętniający założycieli „Kamena”. Czytelnicy pisma niewątpliwie wiedzą o tym, że „Kamena” zrodziła się w Chełmie, we wrześniu 1933 r. jako miesięcznik poetycki, tam też wychodziła przez szereg lat. Twórcami jej byli dwaj nauczyciele Seminarium Nauczycielskiego. Stworzyli oni w kręgu „Kamena” prężny ośrodek życia literackiego w Chełmie, zaważyli w istotny sposób na rozwoju kultury w tym mieście. Po-

stepowy charakter pisma skupiał wokół niego młodych ludzi o gorących, pełnych zapału sercach i o umysłach nieprzeciętnych, ludzi których talenty rosły i krzepły wraz z ich piśmem.

Spółczesność Chełma wysoce sobie ceni tych ludzi, szczerzy się nimi i pamięta o nich. Dzięki życzliwej atmosferze i poparciu ze strony miejscowych władz wyjdzie spod prasy mieniczej prezentowany medal, będący wyrazem hołdu dla dwu skromnych ludzi, którzy tak wiele uczynili dla Chełma: dla Kazimierza Andrzeja Jaworskiego i Zenona Waśniewskiego. Przewidywany termin emisji — koniec br., nakład — 900 egzemplarzy, z czego połowa w patynowanym brązie, a połowa srebr-

zona i oksydowana. Średnica krążka medalowego — 80 mm. Projektantem jest artysta rzeźbiarz Jerzy Jarnuszkiewicz, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

Awers medalu przedstawia w centrum portret KAJ-a, wykonany według zdjęcia z okresu chełmskiego poety. W otoku napis: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI — 1897—1973. Niżej umieszczona jest skośnie biegnąca sfalowana szarfa z napisem: W 1933 r. ZAŁOŻYLI W CHELMIE (dalszy ciąg na odwrotnej stronie). W tle widnieją wznosząca się ku górze i stopniowo rozszerzająca się — „gwiazdna droga”. U jej początku leży rzucony kwiat róży.

Rewers poświęcony jest drugiemu z założycieli pisma i kompozycyjnie

ściśle wiąże się ze stroną awersową. Ta początkowo wąska droga, złożona z gwiazd i obłoków, staje się coraz szersza, coraz wyższa, coraz bogatsza. Szybuje po niej pełen ekspresji i piękna Pegaz, synonim natchnienia poetyckiego. W centrum głowa wg autportretu, a w otoku napis: ZENON WASNIEWSKI 1891—1943. Niżej szarfa z dalszym ciągiem napisu informacyjnego: — MIE PISMO POETYCKIE „KAMENA”. W końcu sygnatura autora: JJ i rok 1977.

Należy przyklasnąć chełmskiej inicjatywie. Pomysł jest godny pochwały, a kompozycja artystyczna niezwykle interesująca i nieszablonowa. Wartości zaś artystyczne będzie można w pełni docenić po całkowitej realizacji dzieła.

## Kto komu szansę?

**T**EGOROCZNY festiwal pieśni i piosenki w Kraśniku (15—18 VI) był dziewiątym z kolei, aczkolwiek na uparcie tego można by powiedzieć, że pierwszym. Poprzednie poświęcono pieśni partyzanckiej lub pieśni o walce i pracy, ostatni — pieśni o ojczyźnie.

W regulaminie festiwalu napisano: *Pragniemy, aby uczestnicy śpiewali pieśni o pięknie naszej ziemi ojczyźnej, o jej bohaterach i ich bogatym twórczym dziedzictwie, o walce, pracy i życiu Polaków. Jest to formuła zamykająca w sobie dotychczasowe festiwale kraśnickie, ale z ogromnym nadatkiem patriotycznym.*

Miasto Kraśnik obchodzi w tym roku 600-lecie swego istnienia i festiwal był największą imprezą kulturalną tych obchodów. Dlatego przyjęto dla festiwalu tak szeroką formułę, która ma szansę utrzymać się na przyszłość. Z tego również powodu, że nowe pieśni partyzanckie nie powstają już w Polsce.

W regulaminie festiwalu napisano również: *Zgłoszenie reprezentantów województwa na IX Festiwal Pieśni o Ojczyźnie powinno być podpisane przez dyrektora WDK, zaopatrzone w wypełnione karty zgłoszeń oraz teksty i nuty (w 3*

*egz.) czterech utworów, które mają być wykonywane na festiwalu.*

A więc chodzi o słowa i nuty. Powstaje problem, co jest lepsze: źle wykonana piosenka patriotyczna czy dobrze wykonana piosenka o miłości? Jeden z jurorów na konferencji

kończącej festiwal zażyczył sobie, aby wojewódzkie domy kultury zgłaszały żywe nagrania proponowanych utworów. Solowe — piosenkarzkie, zespołowe — wokalne, zespołowe — wokalnie-instrumentalne, chórowe — kameralne a capella.

Red. Zofia Dubiewicz („Sztandar Ludu”) udzieliła wywiadu dla biuletynu festiwalowego: *Poziom tegorocznego festiwalu jest nieco niższy. Sądzę jednak, że jest to efekt zmiany jego formuły. Spowodowała ona bowiem spore trudności uczestnikom w doborze repertuaru. Za rok na pewno będzie lepiej.*

Dlaczego będzie lepiej? Ponieważ organizatorzy noszą się z zamiarem rozpisania konkursu na pieśń patriotyczną a nagrodzone i wyróżnione utwory mają być przedstawione na

dziesiątym festiwalu. Wtedy będzie można zareklamować imprezę „Polskim Nagraniami”, które się nią nie zajmują wcale oraz polskiej TV, która się nią ostatnio zainteresowała bardzo umiarkowanie.

„Kiedy Festiwal Pieśni Partyzanckiej narodził się w 1969 roku, była to impreza na miarę klubu Ruchu” — powiedział I sekretarz KM PZPR w Kraśniku, Wit Szymanek. W ostatnim festiwalu uczestniczyły 53 zespoły, czyli ponad 500 wykonawców. Ponadto kilkunastu dziennikarzy, zespół jurorów, organizatorów. Koszt całości — około 800 tysięcy złotych.

Władze miasta zrobiły wszystko, albo i jeszcze więcej. Udostępniono telex, maszyny do pisania, maszynistki; pomieszczenia Kraśnickiego Ośrodka Kultury, nowej kawiarni w podziemiach muzeum; hotel „Saturn”, trzy restauracje, internaty szkolne, samochody zakładów pracy. Nawet tradycyjne deszcze festiwalowe jakby zelżały, choć nie całkiem. Prysłowie dnia: „Nie kos siana rolniku, bo festiwal w Kraśniku”.

W przyszłym roku ma być zaduszony kraśnicki amfiteatr. W tym roku po raz pierwszy powtórzono koncert galowy w Lublinie. Część pieniędzy na nagrody przyznał przewodniczący ZG ZSMP. W Kraśniku burzy się stare domostwa i oddaje blisko 250 mieszkań. Ocznie Dawniej mówiono „Ziemia Kraśnicka”, dzisiaj się mówi „Kraśnik”.

Są to fakty z różnych dziedzin. Może tylko pozornie. Czy festiwal stwarza szansę Kraśnikowi, czy Kraśnik festiwalowi?

MP



Otwarcie festiwalu

Fot. Zb. Jaśkiewicz

ciel i wychowawca, a następnie zwierzchnik młodego entuzjasty lotnictwa, stawiającego pierwsze zawodowe kroki w aeroklubie w Bielsku-Białej. Rysio uważa, że właśnie Tadeusz Góra zaszczylił w nim wszystko to, co pilot ze Swidnika uważa za swoją najcenniejszą życiową zdobycz: właściwy stosunek do zawodu, do pracy, do zy-



Lata pięćdziesiąte: Ryszard Kosiol przy jednym z pierwszych polskich helikopterów

cia. Góra stale powtarzał podopiecznym: „Życie to znaczy coś więcej niż tylko latać dla samego latania. Liczy się to, czego człowiek w ogóle dokonana. A słowo „być”, ma się kojarzyć z „być najlepszym”.

Zakochał się Rysio Kosiol w lotnictwie jeszcze w dzieciństwie, obserwując loty szybowcowe na lotnisku pod rodzinnym Toruniem i również, jeszcze jako dziecko, wzbili się pierwszy raz nad ziemię. Kiedy zaczął latać w

Toruniu na szybowcach, miał zaledwie trzynaście lat. Którego to wiek skrzętnie ukrywał przed instruktorami, a kiedy się wreszcie rzecz wydała, musiał starać się o pozwolenie na latanie aż u samego ministra komunikacji.

Pierwszy raz wziął do ręki drążek sterowy w 1946 r. Trzy lata później był już... najmłodszym w Polsce pi-

pilotów, że mogą one wylądować, a następnie ukryć się nawet na małym polu kukurydzy. No i byli oczywiście w Ligocie instruktorzy. Stare wojenne wygi. Ci — z 1, 2 i 3 pułku lotniczego Ludowego Wojska Polskiego i ci z dywizjonów latających nad Londynem i Afryką. Pierwszym nauczycielem pilotażu był dla Rysia Kosiola

woryzacja męska, oparta na stawianiu coraz to większych wymagań i trudniejszych zadań. Może Góra odnajdował w Kosiolu siebie z lat młodzieńczych? Sam zawsze sygnał po rzeczy najtrudniejszej i od innych tego wymagał. Przedwojenny jeszcze pilot, jeden z pionierów polskiego szybownictwa, pierwszy na świecie posiadacz złotej odznaki szybowniczej z trzema diamentami za przelot w 1937 r. odległości 500 kilometrów, pierwszy Polak, który otrzymał Medal Lilienthala — najwyższe międzynarodowe wyróżnienie w lotnictwie sportowym. Taki sam medal wręczono w wiele lat później Jurijowi Gagarinowi. W czasie wojny Góra latał w Anglii w dywizjonach myśliwskich, a po wyzwoleniu wrócił do kraju i z zamiłowaniem szkolił młodą kadre lotniczą. Dzisiaj, po wielu latach spędzonych w ludowym lotnictwie i po przejściu do rezerwy pilk, pilot Tadeusz Góra, znowu spotyka się na co dzień z Ryszardem Kosiolem. Od roku mieszka w Swidniku i jest jednym z najbliższych współpracowników swojego dawnego wychowanka: pełni funkcję kierownika lotów na lotnisku fabrycznym. W dalszym ciągu lata i nadal szkoli młodych pilotów.

# PILOT HELIKOPTERÓW

lotem samolotowym! Pisała o nim „Trybuna Ludu”, a zaraz potem „Gazeta Toruńska”. W jednym z numerów z 1949 r., wielki tytuł głosił: „Ryszard Kosiol — 16-letni toruńczyk został pilotem.” Tu następował opis krótkiej, ale już bogatej kariery syna toruńskiego strażaka, który fakt dostania się na kurs pilotażu zawdzięczał organizacji „Służba Polsce”. Właśnie w 1948 r. „SP” przejęła od aeroklubów sprawę lotniczego kształcenia młodzieży. To również „Służba Polsce” poparła starania młodocianego entuzjasty lotnictwa do Państwowego Liceum Lotniczego w Bielsku Białej.

Ale zanim przekroczył prógi nowej szkoły, był jeszcze ów wakacyjny kurs pilotażu silnikowego w Ligocie Dolnej. W ciągu roku odbywały się cztery dwumiesięczne kursy dla młodzieży z całej Polski. Na każdym kursie było nie więcej niż trzydziestu uczestników. Latano na samolotach Po-2, owych słynnych z czasów wojny radzieckich „kukuźnikach”, niewielkich, dwupłatowych „parkotkach”, które swoją popularną nazwę wzięły od przekonania

doświadczony lotnik, który w czasie wojny latał w Anglii na Lancasterach — Jan Kalfas. Ale nauczycielem, a także opiekunem i przyjacielem stał się dopiero wspomniany już Tadeusz Góra, kierujący dalszą lotniczą karierą Kosiola w Bielsku Białej.

Stary, doświadczony lotnik upodobał sobie chłopaka, który wszystkie wolne chwile spędzał na lotnisku, chętnie pomagając także przy remoncie samolotów. Pieniężni wtedy nie grzeszył zupełnie, i to do tego stopnia, że mechanicy nazywali go — bez cienia złośliwości — „Ten, co się żywi korzonkami”. Ale też Rysio czuł na co dzień i od święta ów meissnerowski „wiatr w podszewkach”, który zapędzał bohaterów książki lotnika-pisarza do słynnej „Szkoły Orłat”. Sam wtedy, w 1950 roku, napisał swój pierwszy w życiu, bardzo jeszcze młodzieńczy ale szczerzy wiersz — „Wiatr w głowie”: „Dreżeni tęsknotą w przestrzeń się rwie my, Ku niebu i słońcu, burzom, przysgodzie [...]”.

Tak więc Góra faworyzował wyraźnie młodego lotnika, ale była to fa-

Niepowtarzalna indywidualność, niekonwencjonalny instruktor! Kiedyś, w czasie lotu treningowego koło Bielska, kiedy samolot leciał do góry kołami a piloci zwiśali głowami ku ziemi, zaproponował ni z tego ni z owego Kosiolowi: „Słuchaj, a może byśmy tak przeszli na ty?” Potrafił nieraz w czasie lotu dobrze zakpić z młodego, zbyt pewnego siebie pilota, ale umiał się także po doskonałym locie zdobyć na wyznaczenie: „Przykro mi, gówniarzu, że ja już tak nie potrafię...”

Kosiol w Bielsku Białej uczył się, pisał wiersze i... bil rekordy. W 1950 r. zaczął pracować w Aeroklubie Bielskim jako instruktor-pilot. W tym właśnie roku Andrzej Brzuska i Kosiol pobili na szybowcu „Zuraw” w czasie jednego lotu aż trzy rekordy Polski; w 1951 r. Ryszard Kosiol pobili na szybowcu „Mucha” rekord Polski, lecąc po stukilometrowym trójkącie z przeciętną szybkością 40,63 km na godzinę. W tym okresie spotkała go również przysława filmowa. Reżyser Leonard Buczkowski kręcił w 1950 r. w okolicach Bielska Białego film „Pierwszy start”, którego akcja dzieje się m. in. na młodzieżowym obozie szybowcowym. Jeden z szybowców pilotował Rysio, a jednym z filmowych „szybowników” był młodzieńki uczeń łódzkiego

## Nasz latarnik w Szwecji

Ryszard Kucha

**M**OJA znajomość z panem Bernardem Osińskim trwa zaledwie rok. Poznałem go bowiem latem 1976 r. podczas kursu metodycznego dla nauczycieli polskich szkół na obczyźnie, zorganizowanego przez Polonijne Centrum Kulturalno-Oświatowe Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

Zafascynowała mnie osobowość tego człowieka, posiadacza obywatelstwa polskiego i szwedzkiego, urzekło piękno języka polskiego, którym włada on z ogromną swobodą i bez obcego akcentu, wszechstronność i bogactwo jego zainteresowań kulturalnych, aktywność w kontaktach z Krajem, bezpośredniość i prostota w obcowaniu z ludźmi.

Pozniejszy go bliżej zadaniem sobie pytanie: czy jest on bardziej polskim Szwedem, czy też szwedzkim Polakiem? Nie było to wówczas pytanie retoryczne, gdyż on sam stwierdzał często, że w Polsce uznawany jest za obcokrajowca znakomicie mówiącego po polsku, w Szwecji zaś uważa się go zaledwie za naturalizowanego cudzoziemca. Najbardziej zabawne dla pana Osińskiego było zawsze to, że w Szwecji słyży o sobie „ten Polak”, zaś w Polsce „ten Szwed”. A może w tej opinii zawarta jest pewna gorzka i subtelna ironia człowieka, który swoje poczucie polskości ceną ponad wszystko?

Zyciorys Bernarda Osińskiego nie należy do łatwych, ani typowych żywotów Polaków XX wieku. Urodzony w Toruniu w 1914 roku w rodzinie od dawna tam osiadłej, wychowany został w głęboko patriotycznej atmosferze domu rodzinnego. Wiele zawdzięczał matce, gdyż ojca utracił podczas I wojny światowej.

Atmosfera panująca w domu zapewne przyczyniła się do decyzji wstąpienia do wojska. W wieku 18 lat znalazł się w Polskiej Marynarce Wojennej i rozpoczął służbę marynarza okrętów podwod-

nych. Wybuch wojny zastał go na ORP „Sen”, który trafiony hitlerowskimi bombami lotniczymi, 17 września 1939 roku został internowany w Szwecji do czasu zakończenia II wojny światowej.

Okresu internowania nie wspomina on z przykrością. Marynarze z zakotwiczonych okrętów podwodnych nie mieli trudności z uzyskiwaniem przepustek, a szwedzkie władze obozu nie stawiały przeszkód, gdy chcieli poznać otaczający kraj. Dużo w tym czasie czytał, korzystając z bogatej biblioteki „Daru Pomorza”, polskich gazet i czasopism przesyłanych z Londynu, a także gazet szwedzkich, ucząc się powoli tego, jakże trudnego dla Słowian, języka. Zapewne już wówczas zdobył nawyk czytania po pracy i spędzania każdej wolnej chwili na lekturze różnych książek, przede wszystkim opracowań historycznych, pamiętników i dokumentów źródłowych. Dziś jest to dla niego rodzaj „nieszkodliwego narkomanstwa”.

Bernard Osiński należy do najstarszej grupy Polonii szwedzkiej. Mieszka tam bowiem stale od 1939 roku, lecz na przyjęcie obywatelstwa tego kraju zdecydował się dopiero w latach 50-tych, po śmierci matki i najbliższych krewnych. Decyzja o pozostaniu w Szwecji nie była łatwa. Należało nie tylko dobrze opanować język, znaleźć stałą pracę, lecz i zaaklimatyzować się w obcym, dość hermetycznym, środowisku. Z czasem jednak systematyczna praca i nauka dały oczekiwane wyniki. Dziś Bernard Osiński, mieszkaniec Akers Styckebruk, biegle włada językiem szwedzkim i polskim. Świadczą o tym liczne, dokonywane przez niego, tłumaczenia artykułów w prasie szwedzkiej i polskiej.

Pozostawszy w Szwecji, nie zerwał Bernard Osiński kontaktów z krajem ojczystym. Nie tylko systematycznie odwiedza Polskę, lecz także bacznie obserwuje życie społeczeństwa, aktywnie reagując na negatywne i pozytywne przykłady postaw Polaków. Jego uwadze nie uchodzą poglądy i opinie na temat Polski Ludowej, wypowiedziane przez ludzi nie zawsze sympatyzujących z naszą

rzeczywistością społeczno-polityczną i polskością w ogóle. Poglądy fałszywe i świadome zniekształcanie faktów piętnuje zdecydowanie, wykazując przy tym temperament autentycznego polemisty.

Bezpośredniego rozmówcę zadziwia on swą wiedzą o naszym kraju, o jego ludziach, ich poglądach i zamierzeniach. Wysoki poziom wiedzy o Polsce zawdzięcza pan Osiński lekturze polskich czasopism i książek, audycjom Polskiego Radia oraz obfitej i nader różnorodnej korespondencji prowadzonej z wieloma instytucjami kulturalno-oświatowymi i naukowymi w kraju, a także z poszczególnymi osobami podejmującymi badania w zakresie problematyki polonijnej.

Jako aktywny członek i działacz Towarzystwa Przyjaźni Szwedzko-Polskiej udekorowany został odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, nadaną mu w 1971 r. przez ministra kultury i sztuki PRL. Należy podkreślić, że wniosek o odznaczenie Bernarda Osińskiego wystawiła ambasada PRL w Sztokholmie. Jak dotąd jest on jedynym Polakiem ze Szwecji, który to wysokie wyróżnienie otrzymał.

Bernard Osiński, nazywany przez swoich przyjaciół i kolegów „latarnikiem”, jest jednym z najbardziej interesujących działaczy polonijnych w Szwecji. Latarnia morska to jego własne mieszkanie, po brzezi wypełnione książkami i czasopismami. Jego pasją jest historia Polski i Szwecji, a przede wszystkim polonika szwedzkiej, których w tym kraju, tak przecież z dziejami Rzeczypospolitej związanym, nie brak. Dzieje Szwecji zna tak dobrze, że zadziwia Szwedów, którzy wielokrotnie zwracają się do niego z prośbą o wyjaśnienie tych czy innych faktów historycznych. Często gości w jego „latarni morskiej” są uczniowie szwedzkich szkół, którym nigdy nie odmawia pomocy. O jego pomocy i radę proszą całkiem obcy ludzie, także z Polski. Nie zdarzyło się dotąd, aby komukolwiek odmówił pomocy, mimo że niekiedy spełnienie prośby wymaga długotrwałych poszukiwań.

Jego korespondencje ze Szwecji, przesyłane redakcją polskich czasopism, posiadają dużą wartość faktograficzną i wychowawczą, gdyż zawsze poruszają sprawy poloników szwedzkich odszukanych w archiwach i bibliotekach podczas licznych podróży. Zazwyczaj są to fakty nieznane, albo mało znane tak Polakom jak i Szwedom.

Na terenie Szwecji znajdują się miejsca związane z dynastią Wazów, królewskiego rodu panującego w Polsce i Szwecji. Śledząc losy członków dynastii, Bernard Osiński opisał zamek Gripsholm, w którym przebywał Jan III (szwedzki) z małżonką, Katarzyną Jagiellonką. Niewielu Polaków wie, że



gimnazjum, Stanisław Mikulski. Obydwóch wkrótce losy życiowe miały skierować do Lublina. Kosiol wspominając dzisiaj tamte chwile powiada, że debiutował w filmie razem z Mikulskim, tylko że Mikulski dalej zaszedł...

W 1952 roku, po zdaniu matury, dziewiętnastoletni absolwent technikum lotniczego wsiadł do pociągu i ruszył na spotkanie nowej przygodzie. A przygodą w owych latach był Swidnik koło Lublina, gdzie właśnie rola wytwórnia sprzętu lotniczego. Młody człowiek wysiadł późną nocą z wagonu towarowego na maleńkiej stacji... od razu zapadł się po kostki w błoto. W tamtych czasach, gdy deszcz popadał, po Swidniku można się było poruszać tylko w gumiakach.

Ale pierwszy, najbardziej pionierski okres, miał już przecież Swidnik za sobą. Zakładano Wytwórnię Sprzętu Komunikacyjnego w warunkach isticie spartańskich i, czasami, w sposób przypominający... prawie że porady kulinarne. Jeden z pierwszych dokumentów dotyczących Swidnika, pismo ministra Przemysłu i Handlu, skierowane w sierpniu 1949 r. do rady gminnej podlubelskiej wsi Mielków, brzmiał następująco: „[...] Należy wykopać 2 hektary kartofli i wykarzcować pobliskie lasy należące do miejscowych rolników, gdyż tereny te są niezbędne do budowania osiedla robotniczego”. [...]

Wytwórnia miała produkować samoloty „Junak” i Po-2 oraz szybowce szkolno-treningowe. Nikt nie przypuszczał, że w efekcie Swidnik stanie się słynną wytwórnią śmigłowców i motocykli. Przecież helikoptery dopiero zaczynały podbijać lotnictwo, w Polsce były prawie nieznaną. W 1943 r. marynarka USA wprowadziła na stałe do eksploatacji śmigłowiec R4B konstrukcji naszego rodaka, I. Sikorskiego, w ZSRR biuro badawcze, założone w 1947 r. przez dr. Michaiła Milla, zaprezentowało na pokazie w Moskwie w 1952 r. śmigłowiec Mi-1. Zresztą Związek Radziecki w szybkim tempie miał się stać helikopterowym potentatem, produkując szereg różnych typów tych statków powietrznych, spośród których największy potrafił podnieść ciężar przekraczający 40 ton. Już w 1956 r. miała się wznieść nad Swidnikiem i przelecieć nad dachami Lublina pierwsza, zielonkawego koloru, głośno terkojąca „ważka”. Jej widok budził wówczas niesłychaną sensację, a dzisiaj zrosł się niemal z lubelskim niebem.

Tymczasem jednak, w 1952 r. Swidnik myślał tylko o skrzydłach 11 listopada 1952 r., dzięki entuzjazmowi i

inicytywie Zbigniewa Piaseckiego oraz braci Klimkiewiczów, Zbigniewa i Zdzisława, powstał tutaj Aeroklub Fabryczny, pierwszy w Polsce aeroklub robotniczy. Wkrótce zresztą zmienił nazwę na bardziej oddającą jego charakter: Aeroklub Robotniczy w Swidniku. Pod ręką było przedwojenne lotnisko, klub otrzymał pominiętego „Storcha”, a zaraz potem samolot Po-2 z demobilu, wymagający wprowadzić kapitalnego remontu, ale zdolny do uniesienia się w powietrze oraz dwa szybowce „Salamandra” i jeden „ABC”. I tak się zaczęło...

Entuzjastów latania nie brakowało, trochę gorzej było z kadrą szkoleniową. Ale właśnie na jesieni 1952 r. pojawił się w Swidniku chłopak dziewiętnastoletni, o krótko ostrzyżonych włosach, który przyjechał z Bielska Białej z dyplomem technika lotniczego. Nazywał się Ryszard Kosiol, miał już za sobą prawie siedem lat latania i wszystkie uprawnienia instruktorskie w kieszeni. Nic dziwnego, że to właśnie on objął w aeroklubie stanowisko szefa wyszkolenia i instruktora. To on

nauczył latania pierwszych młodych swidnickich pilotów: Irenę Pietrzak, Jana Cholewkę, Andrzeja Ciesielskiego, Juliusza Kaletę, Wojciecha Trawińskiego.

W 1957 r. Aeroklub Robotniczy w Swidniku posiadał już 12 samolotów i 11 szybowców, pracowały aktywnie sekcje: modelarska i spadochronowa, do aeroklubu ciągnęły rzesze młodzieży. Powstała w Swidniku silna grupa pilotów-akrobatów z wielokrotnym mistrzem polski w akrobacji samolotowej, Stanisławem Kasperkiem na czele. Sportowiec z tutejszego aeroklubu, Henryk Ignasiak, zdobył w 1959 r. pierwszą złotą odznakę szybowcową z trzema diamentami. Aktywnie działali konstruktorzy. Któż nie pamięta owych doniesień prasy o inżynierze Sta-

światowej — „Farmana IV” czy „Bleriot XI”, ów samolot, na którym L. Bleriot zadziwił cały świat, przelatując w 1909 r. nad Kanalem La Manche!

W 1963 r. wznowiono w Swidniku, po 24-letniej przerwie, Zimowe Zawody Samolotowe, nawiązujące do tradycji zapoczątkowanych tutaj w 1931 r. Lubelsko-Podlaskich Zawodów Lotniczych (w których zwykłym był brać udział doskonały malarz, a mniej udany lotnik — związany z Warszawą i Kazimierzem prof. Tadeusz Pruszkowski). W 1964 r. dzięki inicjatywie Ryszarda Kosioła zorganizowano przy aeroklubie pierwszą w Polsce sekcję śmigłowcową. I właśnie na skutek aktywnej działalności tej sekcji doszło po kilku latach do Krajowych Zawodów Śmigłowcowych, zaś w 1971 r. — do pierwszych Śmigłowcowych Mistrzostw Polski.

Nie wybiegajmy jednak zbyt daleko w przyszłość. Bo śmigłowce to następny etap Swidnika i kolejnym, wielkim etapem w życiu Ryszarda Kosioła. To wiele lat pracy na stanowiskach technika, a potem inżyniera kontroli technicznej, tysiące godzin wylatanych na helikopterach w roli instruktora-pilota fabrycznego i wreszcie — odpowiedzialna funkcja kierownika wydziału prób i eksploatacji śmigłowców. Nie zdarzył się dotąd w Swidniku ani jeden wypadek w czasie lotów doświadczalnych, chociaż — jak zawsze i wszędzie przy tego rodzaju pracy — zdarzały się niebezpieczne sytuacje. Można więc gratulować Kosiolowi i jego kolegom zarówno precyzji oraz odpowiedzialności w działaniu, jak i owego łuta szczęścia, tak potrzebnego w lotniczej sztuce.

Człowiek, który pilotował ze Swidnika do Warszawy pierwszy polski śmigłowiec, latał na maszynach radzieckich, szwajcarskich, amerykańskich, holenderskich. Najmłodszy swego czasu pilot Polskiej Ludowej. Biegły sędziwy w sprawach lotniczych. Sędzia klasy międzynarodowej w okręgowym kolegium sędziów sportów motorowych. Członek Polskiego Związku Żeglarskiego. Aktywny działacz społeczny i partyjny. Z zawodu — również ekonomista, bo niezależnie od pracy w Swidniku skończył studia i zdobył tytuł magistra ekonomii w Krakowskiej Wyższej Szkole Ekonomicznej. Autor licznych artykułów w fachowej prasie lotniczej...

Instruktor — pilot Tadeusz Góra nieomylnie postawił kiedyś na swojego wychowanka.

Mirosław Derecki



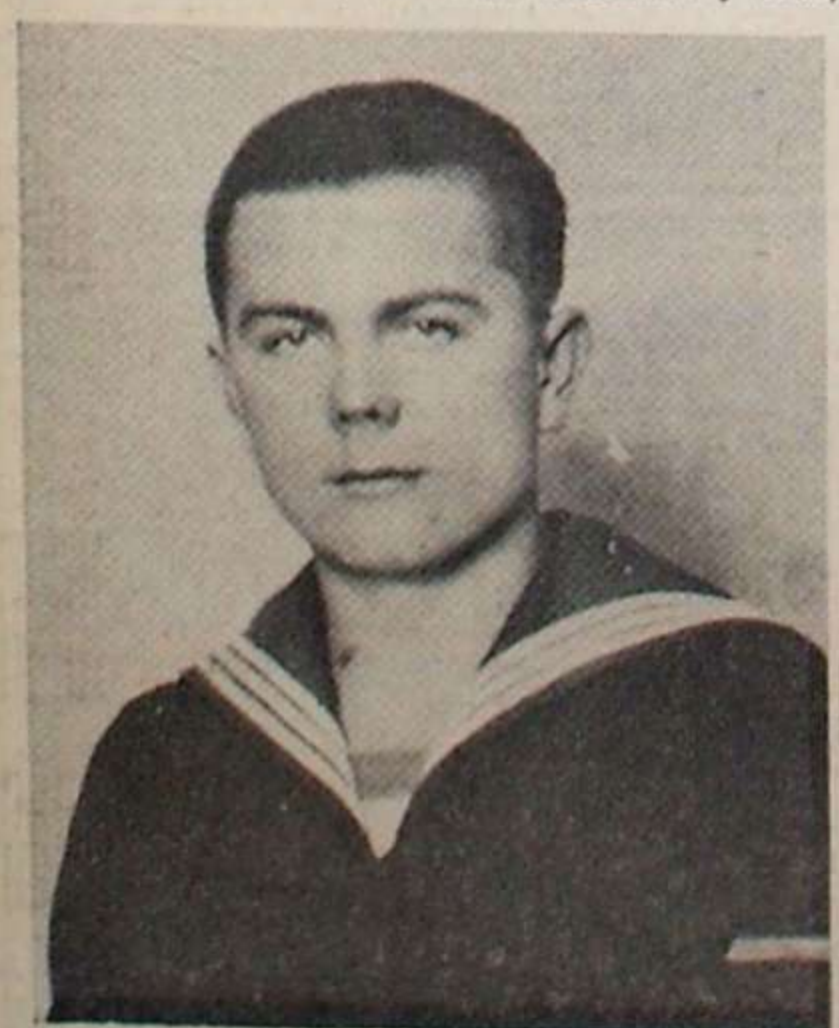
W 1976 r. w Iraku

sach, który przyjechał z Bielska Białej z dyplomem technika lotniczego. Nazywał się Ryszard Kosiol, miał już za sobą prawie siedem lat latania i wszystkie uprawnienia instruktorskie w kieszeni. Nic dziwnego, że to właśnie on objął w aeroklubie stanowisko szefa wyszkolenia i instruktora. To on

nazywał Bień, powtarzającym z niezłomnym uporem próby wznieśnięcia się w powietrze na zbudowanym przez siebie mięśniolocie-skrzydłowcu? Kto nie czytał z zainteresowaniem o jednym z seniorów polskiego lotnictwa, Pawle Zolotowie, rekonstruującym w Swidniku samoloty sprzed I wojny

w murach twierdzy przyszedł na świat król polski, Zygmunt III Waza, że Katarzyna Jagiellonka odwiedzała także zamek w Taxinge-Näsby, gdzie dziś jedna z komnat ozdobiona jest kompozycjami plastycznymi bardzo w Szwecji popularnego artysty malarza, Piotra Potworowskiego. Do dziś zachował się tu jego dom. Obrazy Potworowskiego znajdują się w posiadaniu wielu zamożnych szwedzkich rodzin. Podobne były dzieje innego malarza polskiego, Jerzego Potrzebowskiego, którego dzieła były bardzo pochlebnie oceniane przez szwedzkich koneserów sztuki.

O tym, jak dokładnie śledzi pan Bernard prasę polską można było się przekonać, gdy przeczytał artykuł „Polski grawer szwedzkiego dworu”, zamieszczony w 7 numerze „Panoramy Polskiej” z 1974 r. Nie tylko w liście do Polskiego Radia podał informację, że król szwedzki Gustaw VI Adolf mianował wychowanką krakowskiej ASP,



Bernard Osinski w czasie służby na ORP „Sęp”

Czesława Słanie, nadwornym grawerem. Osiął również szczegółowo twórczość artysty, określając go jako jednego z „czołowych 90 grawerów znaczków pocztowych na świecie”, twórcę 132 szwedzkich znaczków pocztowych i autora ok. 300 projektów znaczków dla Dani, Grenlandii, Islandii i San Marino. Cytując dane z „Dagens Nyheter” wyrażał Osinski żal, że tak znanemu artyście nie udało się doprowadzić do wydania znaczka poświęconego 500-leciu urodzin Mikołaja Kopernika.

Jako rodowity torunianin, urodzony „w cieniu Kopernika”, nie pominał Bernard Osinski milczeniem tendencyjny artykuł poświęconego wielkiemu astronomowi z okazji 500 rocznicy jego urodzin. Zatytuowany „En betydelselfull tysk 500 — aring” („Znaczące niemieckie 500-lecie”), zawierał fałszywe dane na temat Mikołaja Kopernika „urodzonego w Prusach Zachodnich w mieście Thorn (obecnie polskie terytorium)” i ukazał się w dzienniku „Folket” 9.VIII.1973 roku. Riposta Osinskiego była natychmiastowa. Nie tylko zaprotestował przeciw niezgodnym z prawdą informacjom dziennikarskim, lecz napisał artykuł w obronie polskości Kopernika, który ukazał się w „Folket” 16.VIII.1973 r. Publikacja opierała się na szerokiej podbudowie historycznej i uwzględniała także prace naukowe historyków niemieckich, dla których polskie pochodzenie Kopernika było faktem popartym wieloma źródłami.

Problematyka niemiecka zajmuje w działalności Bernarda Osinskiego szczególne miejsce. Wynika to przede wszystkim z jego osobistych doświadczeń życiowych, wspólnych wszystkim Polakom starszego pokolenia. Z tej racji jest on mocno wyczułony na liczne przypadki niemczenia polskich nazw geograficznych w pracach naukowych wydawanych drukiem w Szwecji po II wojnie światowej, a poświęconych stosunkom polsko-szwedzkim. Zareagował np. bardzo ostro, gdy w wydanej w Sztokholmie w 1974 roku pracy Axela Norberga „Polen i Svensk Politik 1617—1626” Bydgoszcz nazwana została Bromberg, Gdańsk — Danzig, Toruń — Thorn. Osinski podkreślił nawet, że Wisłę jako rzekę polską „wciągnięto na folklistę nazywając ją Weichsel”. Nie poprzestając na tym napisał recenzję wydanej pracy i przelał ją do Polskiej Akademii Nauk w Warszawie.

Osiński nie tylko pasjonuje się historią, lecz również bacznie obserwuje działalność wybitnych szwedzkich twórców kultury, naukowców i pisarzy w zakresie upowszechniania wiedzy na temat współczesnego życia kulturalnego w Polsce. Jednakże i w tym przypadku nie pomija historii. Zbierając materiały do swych korespondencji natknął się na

fakty z działalności wybitnego znawcy literatury polskiej i słowiańskiej, Alfreda Jensena (1859—1921), tłumacza na język polski utworów Mickiewicza, Słowackiego, Ujejskiego, Krasińskiego, Konopnickiej, Reymonta, a nawet „Wesela” Wyspiańskiego, autora publikacji naukowych poświęconych twórczości Jana Kochanowskiego i Orzeszkowej, człowieka, który przyczynił się do przyznania nagrody Nobla w dziedzinie literatury Henrykowi Sienkiewiczowi. Z działalnością Alfreda Jensena związane są także nazwiska Henryka Bukowskiego, antykwariusa, finansującego pierwsze szwedzkie wydanie „Pana Tadeusza”, które ukazało się w 1898 roku oraz Ellen Wester, tłumaczki kontynuującej dzieło Jensena po jego śmierci.

W swoich korespondencjach nie pomija Bernard Osinski problematyki odbioru polskiej muzyki poważnej i rozrywkowej w Szwecji. Analizuje on nie tylko wypowiedzi prasowe, recenzje krytyków muzycznych i muzykologów, lecz przekazuje też głosy przeciętnych odbiorców. Do popularyzatorów polskiej muzyki zaliczył np. Eve Nordwalla, autora pracy o Witoldzie Lutosławskim, stałego uczestnika „Warszawskiej Jesieni”. Jako autor nie odmawia sobie też przyjemności przekazywania ciekawostek z życia muzycznego świata w Szwecji. Niewątpliwie szczególnego rodzaju ciekawostką była informacja o losach „Piosenki o mojej Warszawie”, wykonywanej przez Mieczysława Fogga. Utwór ten, bardzo popularny na antenie szwedzkiego radia w szwedzkiej wersji językowej, pewnego dnia nagle zniknął z eteru, by nigdy więcej nie pojawić się w programie muzycznym. Pospaly się protesty słuchaczy i wówczas radio szwedzkie podało do wiadomości publicznej, że do melodii tej napisano słowa psalmy religijnej i jedna z licznych sekt religijnych wykupiła wszystkie prawa jej upowszechniania.

Jego kontakty z Biblioteką w Warszawie nie tylko przyczyniają się do wzbogacania informacji bibliograficznej o wszelkich poloniacach szwedzkich, lecz również do wzbogacenia księgozbioru Narodowej Książnicy o pozycje zakupione przez naszego „latarnika” i bezpłatnie przesyłane do Polski. A jak należy ocenić jego decyzję przekazania własnej biblioteki, składającej się z 1455 tomów Instytutowi Kultury Polskiej w Sztokholmie?

Taka postawa polskiego mieszkańca Akers Styrkebäck nie tylko zasługuje na podziw, szacunek i wdzięczność Polaków i Szwedów, lecz także przyczynia się do popularyzacji wiedzy o naszym kraju w świadomości społeczeństwa szwedzkiego, służąc dobrej idei dobrosąsiedzkich stosunków między naszymi krajami.

# NIEZNANE LISTY BOYA

Stanisław Białkowski

**D**WA są dla kobiet sposoby wejścia do literatury. Jedna, to pisać książki; drugi, to nacierać się czymś w życiu wielkiego pisarza. Ta druga droga jest wdzięczniejsza, bardziej kobieca, i — może trwałsza. Tą opinią rozpoczyna Tadeusz Boy-Zeleński biografię „Pani Hańskiej” (Lwów, 1925).

Postać Eweliny z Rzewuskich Hańskiej, która po osiemnastu latach wymiany listów miłosnych z autorem „Komedii ludzkiej” przez dalszych pięć miesięcy była panią de Balzac, szczególnie interesowała mistrza popularizatora arcydzieł literatury francuskiej na gruncie polskim.

Zona kresowego magnata, wywodząc się z dumnego rodu hetmanów i ludzi zasłużonych dla literatury polskiej XVIII i XIX wieku, otrzymała wychowanie w tradycyjnej dla Rzewuskich atmosferze wysokiej kultury umysłowej. Życie młodej pani Eweliny u boku starszego o 25 lat męża, w zagubionej wśród pól Ukrainy rezydencji Hańskich — Wierchowni, upływało zbyt monotonnie. Toteż wkrótce po śmierci Wacława Hańskiego młoda jeszcze i piękna, a nade wszystko bogata wdowa, wbrew oporom rodziny, postanawia związać swoje życie z modnym paryskim literatem. Minęło jednak sporo czasu zanim pokonała wszelkie przeciwności, aby w dniu 14 czerwca 1850 roku móc stanąć z panem Honoré de Balzac na ślubnym kobiercu w kościele Karmelitów w... Berdyczowie! Jednakże ta istota uwielbiana i kochana przez Balzaka do ostatecznych granic, została posadzona, w imię kultury dla pisarza, na lawie oskarżonych, z dwoma okolicznościami obciążającymi: jedna, że była cudzoziemką, a druga, dość niebezpieczna w naszej demokratycznej epoce, że była wielką damą... Nie znalazła obrońców i w swojej ojczyźnie... — zauważa Boy z wyrzutem. Ponieważ w ostatnich miesiącach pojawiły się dokumenty i głosy skłaniające do nieodwrótej rewizji tego „procesu” — Boy podejmuje się roli obrońcy.

W maju 1925 roku doktor wszech nauk lekarskich Tadeusz Zeleński, wraz z kandydatem nauk prawnych Jarosławem Iwaszkiewiczem, przedstawicielem młodego pokolenia literatów, m.in. autorem „Wesela pana Balzaka”, reprezentowali polskich pisarzy na I Międzynarodowym Kongresie PEN — Clubów w Paryżu. Przy tej okazji Boy poznał, jak to sam określa, cały „klan balzakistów”. Z najlepszym znawcą Balzaka we Francji, Marcelim Bouteronem, również apologetą pani Hańskiej(!), nawiązał serdeczną przyjaźń.

Opracowane przez Barbarę Winklówą „Listy Tadeusza Zeleńskiego-Boya” (PTW — 1972) odsłaniają, w pewnej mierze, tajniki jego warsztatu pisarskiego. Korespondencja obejmuje szeroki krąg ludzi nauki, literatury i sztuki. W opublikowanych listach z 1925 roku są tylko dwie lakoniczne wzmianki o mającej ukazać się biografii pani Hańskiej. W zbiorze zabrakło, niestety, tych listów, które dowodzą, z jaką podziwu godną pracowitością Boy poszukiwał najdrobniejszych nawet materiałów, mogących

dopomóc mu w odtworzeniu atmosfery panującej wokół osoby pani Hańskiej i Balzaka. Łukę tę w pewnej mierze wypełnia nieznana dotychczas korespondencja Boya-Zeleńskiego z profesorem KUL, dr. Leonem Białkowskim, ówczesnym docentem Historii Wschodu Europy na Uniwersytecie Poznańskim. Obejmuje ona jedynie cztery listy z okresu między czerwcem a wrześniem 1925 roku, stanowiące jednak dość istotny przyczynek do biografii „Pani Hańskiej”. Przedmiotem korespondencji jest „dziennik” Wirginii Jezierskiej, przetłumaczony z autografu francuskiego i wydany przez jej prawnuka — Leona Białkowskiego w 1924 roku pod tytułem: „Z życia dworów i zamków na Kresach 1828—1844”.

Autorka, Wirginia de Mory, Francuzka, przybyła we wczesnej młodości do Polski, gdzie poślubiła hr. Stanisława Lewald-Jezierskiego. U boku serdecznych przyjaciółek, hr. Zofii Chodkiewiczówny i księżnej Teofilii Radziwiłłówny, weszła do tzw. „wielkiego świata” magnaterii kresowej. Szczęśliwym, dla Boya, zbiegiem okoliczności, Wirginia de Mory-Jezierska, współczesna pani Hańskiej, nie tylko, że obracała się w tym samym środowisku społecznym, lecz i w tym samym kręgu terytorialnym, w którym upływała młodość przyszłej pani de Balzac.

Obie panie znały się zresztą osobiście. Toteż we wspomnieniach W. Jezierskiej liczne są wzmianki o rodzinie Rzewuskich, o samej Ewelinie Hańskiej i jej romansie z Balzakiem. Między innymi notuje ona: Pod koniec maja 1844 widziałam w Młynowie panią Hańską, siostrę hr. Adama Rzewuskiego. Kobieta to 36 lub 38-letnia, bardzo jeszcze miła... Pani Hańska zdaje się zasługiwać na względy i starania Balzaca, bo jest bardzo przyjemna i wykształcona... Pani z Rzewuskich Hańska jest osobą pełną wiedzy, poszukującą ludzi sławnych z rozumu, którego sama zresztą ma wiele, można atoli powiedzieć, że jej umysłowość jest barokową i, że jej wyższość bywa śmieszna.

Jak wysoce ocenil Boy-Zeleński walory wspomnień Wirginii Jezierskiej, a fragmentów odnoszących się do pani Hańskiej i Balzaka w szczególności, niech świadczą wyjątki z jego listów do Leona Białkowskiego. Mówi o tym także reprodukowany obok list z dnia 19 czerwca 1925 roku.

W liście z 30 czerwca 1925 roku czytamy: „Książeczkę p. Jezierskiej wydaną przez pana cytuję w mojej książeczce „Pani Hańska”, która powinna wyjść lada dzień, oprócz tego najchętniej zacytuję ją w „Wiad. Literackich”. Wspomniany cytat z pamiętnika Wirginii Jezierskiej, poprzedzony komentarzem Boya, w całości brzmi następująco:

Próbkę sądów o Balzaku, jakie krążyły w otoczeniu pani Hańskiej, może dać lakoniczna notatka, zawarta w dzienniku pani de Mory-Jezierskiej, która znała panią Hańską osobiście i żyła w całym tym świecie. Balzac jest w wielkiej z nią przyjaźni i dedykuje jej swoje utwory, co przypisują nade wszystko potrzebie czerpania ze skatupy jej wielce bogatego męża...

„Ileż Szczęśliwy Panie!”  
Pozwalam sobie zerwać się do szanownego pana w takiej sprawie. Jako zapalony balzakista czytałem z niezmiernym zajęciem wydaną przez pana książeczkę „Z życia dworów na kresach”, gdzie jest tyle ciekawego materiału do poznania ówczesnej atmosfery. Będąc świeżo u Jazytu ofiarowałem egzemplarz tej książeczki panu Bouteron, najlepszemu znawcy Balzaka we Francji i przedśmoczyłem mu na pędze niektóre uwagi. Bardzo się ten zainteresował i prosił mnie aby się dowiedział, czy nie byłoby sposobu, aby on jako Francuz nie znający polskiego języka, mógł się zapoznać z oryginałem, czy to w rękopisie, czy w odpisie z oryginału, którego koszt ewentualnie by pokrył. A w dalszym razie czyby się nie dało tej rzeczy w całości lub w fragmentach zamieścić w którymś z przeglądów francuskich, w cenie w dalszym razie byłby gotów podredagować. Odyby pan wolał porozumieć się z

P. Bouteron, adres jego jest  
Paris VI  
rue de Seine 1

Z każdym razie wdzięczny będę szanownemu panu za słówko odpowiedzi w tej kwestji  
Wyrazy szacunku i powalania łączę

Boy. Zeleński

Bezosobowa forma powyższej notatki zdaje się wskazywać na chęć odciążenia się autorki wspomnień od tego typu prozaicznej oceny uczuć Balzaka. Dla Boya, jako „obrońcy” pani Hańskiej, opinia o Balzaku, krążąca w jej najbliższym otoczeniu, miała szczególną wartość, zwłaszcza, gdy jej wydźwięk stanowił „okoliczność obciążającą”, tym razem samego Balzaka.

Jako aktualny posiadacz nieznanych listów Tadeusza Boya-Zeleńskiego do Leona Białkowskiego, stanowiących jedną z ciekawszych pamiątek rodzinnych, czuję się w obowiązku zasygnalizować badaczom pisarstwa Boya o ich istnieniu. Mam nadzieję, że przytoczone fragmenty tej korespondencji i reprodukcja jednego z listów najlepiej spełnią to zadanie.

Zbigniew Janusz

ULICA

znajomość pewnej ulicy  
— pełnej witryn i złotych  
prostokątnych rodzin  
zapalających się każdorazowo  
po zmilknieniu samochodów  
— urasta do znajomości życia

problemy podobnych sąsiadów  
stają się moją kolacją  
dopiero konieczność światu  
wydusza ze mnie stwierdzenie  
że to nie to

IDEAŁ

to było właśnie to  
czego oczekiwał  
doskonale wymierny stał się ideałem  
rozumianym przez wszystkich

gdy mówił  
liście klaskały o jesień  
gdy śmiał się  
ulica trzęsła sytym rondem  
przytrzymując paskiem horyzontu  
zbyt obszerne chmury  
gdy umilkł  
wiatr się powołał na drzewie  
ściął je  
bo czym było  
wobec jego doskonałości



Z wystawy grafiki Lucjana Mianowskiego w lubelskim BWA (czerwiec b. r.)

Fot. A. Polakowski

**G**WOZDZIE I śrubki poroz-  
rucane luźno w dzieciń-  
stwie. Coś, do czego można  
się dotknąć. Brzęczą w kie-  
szeniach hipnotyzującym dźwię-  
kiem. Pewnie dlatego, że nie rosną  
na drzewie, nie kielkują w ziemi.  
Są pierwszym, prymitywnym sym-  
bolem czegoś, co wówczas nie mia-  
ło jeszcze nazwy, ale tkwiło w Lesz-  
ku głęboko.

Potem — mechanizm starego ze-  
gara. Kółeczka. Wystarczy poruszyć  
jednym, by drgnęły wszystkie. Z in-  
nego światła. Z duszą ukrytą między  
trybikami. A na wsi wszystko roś-  
nie samo, z dnia na dzień po tro-  
chu. Niczego tu popchnąć nie moż-  
na, przykreścić, zatrzymać. Plot też  
nieruchomy. Tylko Księżyc jest in-  
ny: w kształcie zębatego, po której  
przesuwa się łańcuch. Kształt rowe-  
ru pobudza wyobraźnię. Dusza Lesz-  
ka jest inna niż te, które oglądał w  
kościółce: nie przypomina gołębi.  
Okrągła, z trybikami, osadzona  
wśród żeber na kulkowych łoż-  
yskach. Za belką na górze drewnia-  
ne pudełko. Otwiera, świeci latarką  
— wśród swoich skarbów czuje  
się najbezpieczniej. Pompka, rozkre-  
cony dzwonek, parę rowerowych  
kluczy, sprężyny od starego siodeł-  
ka...

— Szmaciarz przyjechał!

Wyciąga spod siana butelki, prze-  
licza, upycha je po kieszeniach, za  
pazuchą, kilka zawija w wełniany  
szalik, szybko zsuwa się po drabi-  
nie.

— Co tam butelki... Szmata jakich  
nie masz?

— Pan weźmie. Za pół ceny sprzedam.

Szmaciarz waha się chwilę.

— Dychę za wszystkie — nalega  
Leszek.

— Masz tu piątaka i wrzucaj do  
wozu. A nie to nie.

Nie może się zdecydować. Nagle  
rozjaśnia mu się twarz.

— A da pan trochę posiedzieć w  
szoferce?

— Właż! Tylko niczego nie ru-  
szaj.

Szybko wrzuca butelki, jeszcze  
szybciej wchodzi do samochodu. Jest  
już w środku najskrytszych mar-  
zeń, które go nagle przerosły.  
Krajobraz pędzi za oknem, miasta,  
miasteczka. Ale ważniejsze jest to,  
co pod nogą. Nieśmiało kładzie nogę  
na sprzęgle, drugą dotyka hamulca.  
Jeszcze kierownica, zegary — wpa-  
trzone w setkę na liczniku naciska  
gaz do dechy.

— Posuń się!

Szmaciarz włącza kluczyk, razem  
podjeżdżają do najbliższej chaty.  
Kumple zazdrośnie patrzą na Lesz-  
ka, który im macha ręką przez szy-  
bę.

— Złaż!

Wychodzi niechętnie, stoi chwilę,  
owija szyję szalikiem, wraca na  
górkę po zawiniątko, potem rusza  
drogą, skąd szmaciarz przyjechał.  
Przyspiesza kroku, przeskakuje  
przez rów, biegnie przez pole...

W przegródkach kolorowe cu-  
kierki.

— Po ile tamte zielone?

— Miętusy?

— Tak.

— Dwadzieścia osiem.

— A tamte?

— Po osiemnaście.

— To niech pan już da landryn-  
ki. Za całe pięć złotych.

Wpatruje się w wagę uważnie.

— Mam jeszcze kilka jajek do  
skupu — mówi nieśmiało.

— To na co czekasz?

Sklepiarz kładzie jajka na wa-  
gę, mnoży na kawałku papieru,  
otwiera szufladę z pieniędzmi.

— Pan da za wszystko cukierków.  
Tych co to za osiemnaście.

Dopiero na ulicy się przemógł.  
Gdy na wystawie zobaczył rowery.  
Zawirowały kółka, widelki, łańcu-  
chy...

— Pan da mi nazad pieniądze? —  
patrzy błagalnie na sklepiarza.  
Niech się pan zgodzi.

— Bo co?

— Coś muszę kupić. Niech się pan  
zgodzi.

Bez słowa bierze od niego toreb-  
kę, waży ją w rękę, patrzy na  
Leszka.

— Jak Boga kocham, że tylko  
jednego. Pan zważy.

Sklepiarz wysypuje cukierki,  
zwraca pieniądze, Leszek wybiega  
ze sklepu, pędzi na drugą stronę,  
związany staje przed ladą.

— Pan da ten łańcuch, co ogląda-  
łem przed chwilą.

Najlepiej udało się na Wielkanoc,  
bo zimną kury źle się niosą i wykra-  
danie od przypadku do przypadku  
po jednym jajku nie daje szybkich  
efektów. Co innego z rozmachem. Z  
pełnego garnka, do którego zjedzie  
niebawem świąteczna rodzinka. W  
domu nikt się nie doliczy, a sklepi-  
karz się nie zorientuje, że połowa  
tych jajek ugotowana. Jakby się  
mógł zresztą zorientować, skoro  
Leszek dopiero potem pomyślał, że  
z nich ani ciasta, ani jajecznicę nie  
będzie. Sklepiarz w zęby mu nie  
da, bo jak rzecz udowodnić? Naj-

ważniejsze, że torpeda w kieszeni.  
Obręcze, sprychy i piastę zdobył  
już wcześniej. Uczciwie. Za normal-  
nie gwizdnięte jajka...

Przed chałupą stoi samochód  
szmaciarza. Stary adler przerobiony  
na półciężarówkę. Chłopak aż oczom  
nie wierzy. Nie spodziewał się zastać  
go jeszcze we wsi. W dodatku przed  
własnym domem. Przy samochodzie  
nikogo. Pewnie do chałupy poszedł  
się ogrzać.

Pogłaskał reflektor, dotknął maski,  
zajrzał przez szybę. Nagle coś so-  
bie przypomniał: przycupnął za sa-  
mochoodem, wypuścił z koła powie-  
trze. Za te butelki. Drżał trochę od  
mrozu, trochę ze strachu, ale na ko-  
łach znalazł się już przecież i trzeba  
się sprawdzić.

Pobiegł do domu. Szmaciarz i oj-  
ciec siedzą przy stole.



boty w chałupie za dużo nie ma, do  
szkoły na razie chodzić nie musisz,  
bo przerwa, więc...

— Czemu nie? — zapalił się Le-  
szek. — I jeździłbym tym samocho-  
dem?

— Jasne.

— A ile bym dostał?

Szmaciarz pokiwiał głową z uzna-  
niem.

— Podobają mi się ten chłopak.  
Widać, że głowa do interesu. I tak  
być powinno... Pięć stówek mie-  
sicznie i żarcie.

Ojciec rozlał wódkę do szklanek.

# LESZEK

Henryk Czarnecki

— Na dwa tygodnie. Albo najwy-  
żej na miesiąc. Nauczycielka mówi-  
ła, że jesteś zdolny, to potem nad-  
gonisz.

— No to możemy — ucieszył się  
Leszek.

— Kiedy?

— Choćby i zaraz. Już jestem go-  
tów.

I stąd jest teraz ta rama. Spod  
kupy zelastwa pod plotem składni-  
cy. Zapach rdzy, pod którą kryje się  
coraz bardziej realny kształt roweru.

— Jakby niedrogo, to bym ku-  
pił — zagadnął kierownika składni-  
cy, grzebiąc nogą wśród stosu ru-  
pieci.

— A po co ci ten kawał szmelcu?

— Może się przyda — powiedział  
ostrożnie.

— To sobie weź — machnął ręką  
kierownik.

podczas gdy on, Leszek, wziął się  
na świecie po prostu, bez cudów,  
między jednym a drugim krząta-  
niem się ojca wokół obejsia.

Dziury, wyboje. Poszerzona ta  
szosa. Nikt jej też nie naprawiał.  
Wybudowano inną, łączącą wieś i  
miasteczka, którym się jakos lepiej  
powiodło. Tutaj pięć chałup. Prawie  
niewidocznych z szosy biegnącej w  
bok od niej. Raz w ciągu dnia auto-  
bus się tylko przetoczy, furmanka,  
krowa wracająca znad rowu na  
nocne przetrwanie. Kto pobodował  
te chaty? Kiedy? Tego już Leszek  
nie wiedział. Pewnie dlatego, że im  
dalej od wioski to i grunt tańszy.

Zawstyżone ubóstwem uciekają  
od szosy, chowają się między drze-  
wa i krzaki. W cień. Wrastają w  
ziemię. Daleko za miedzą, w bok od  
niej jest wioska, gospoda. Ludzie  
przwyrośli do chałup, do spodni, któ-  
rych nie chce się na noc zdejmować.  
Bo po co, skoro jutro znów  
trzeba je wciągnąć na siebie? Kro-  
wy też chodzą wolniej — nie ma się  
śpieszyć do czego. Tu już niczego  
zmienić nie można. Chałupy zaak-  
ceptowały swój zmierzch, szukając  
jedynie resztek dogasającej jesieni.  
Starym powykruszały się dzieci jak  
zęby, rozbiegły się niezauważenie po  
świecie, rodziny rozeschły się jak  
klepki w nieużywanej beczce. Bez  
hałasu, bez walki, bo i kto miał tu  
walczyć? Nie było przy czym się  
także upierać: dwie morgi nie mają  
już siły magicznej. Tutaj kończyła  
się jedna epoka, druga nie miała  
sensu się zacząć. Przycupnął mu oj-  
ciec w sobie, zgarbił się, skurczył,  
zmalował — nawet schylał się już nie  
musi gramoląc się do chałupy. Naj-  
bezpieczniej jedynie stąd dotąd. Po  
ubitej ziemi. Wokół zagrody. Myśli  
odbijają się od znajomych na pamięć  
desek stodółki, wracają na miejsce,  
sięgać po nie nie musi, by je po-  
zbierać do kupy, mieszczą się w  
wiklinowych koszykach, które zimą  
wypłata. Gdy ręce zanurzyć po lok-  
cie — nie nie uwiiera, wszystko zna-  
jome, swojskie, bliskie. Tylko wśród  
tych swojskości może się ojciec po-  
ruszać bezpiecznie. Życie wypłatać  
z wikliny, z jałowca.

Odkąd Leszek pamięta, zawsze  
były te kosze. Przed wojną jeszcze  
dachy krył słomą, wóz-umiał chło-  
pom naprawić, do młyna zimą się  
nając. Teraz sił już zabrakło, albo  
zbyt na kosze jest większy.

Autobus podskoczył na dziurze,  
wytrącił go z drzemki, której nie  
umie już opanować. Nie reaguje  
tylko na mniejsze wstrząsy, które  
powinny podniecać go bliskością do-  
mu. Lecz podniecenie było już  
przedtem. Gdy tłukł się pociągami  
wśród nocy. I wypaliło się przez  
zbyt długą drogę. Wzruszenie prze-  
kładał z jednej kieszeni do drugiej,  
wertował, poupychał gdzie trzeba  
i uległ zmęczeniu. Cicho, spokojnie.  
Wewnątrz izby kilka kobiet drze  
pierz. Można zanurzyć się w puch,  
przytulić do chwil odległych...

Przed chwilą jeszcze przykrecał  
sprychy, teraz wraca z dalekiej po-  
droży. Pomiedzy tymi sprychami i  
jego powrotem tyle wszystkiego, że  
w żaden sposób ułożyć porządnie nie  
można. Tego kawałek, tamtego ka-  
wałek. Droga do sadu, piasek...  
Wszystko ma wartość. Dlatego, że  
było. Życie nie składa się z równo  
przystających do siebie kawałków,  
ale rozlicza się je ze zdarzeń, które  
się utrwały w pamięci i dopiero na  
dziurach, wybojach odrzwają się jak  
tynek od sufitu. Kawałkami. Z róż-  
nych kątów po trochu. Jeszcze rów  
tylko przeskoczyć, kawałek skosem  
przez kartofliska, krzyż, zakręt, na  
horyzoncie majaczą już pierwsze  
domki... Dopiero gdy musiał wracać  
do sadu wierzy swym ciężkim  
kształtem zwalniając rytm jego kro-  
ków. Wolno oddalają się za jego  
plecami nieuniknioną koniecznością  
oddalenia. Idąc tak pieszo wydaje  
się sobie jeszcze mniejszy niż zwyk-  
le. Nieporadny wobec tych wierzb,  
które żegnają go ze współczuciem.  
Do sadu przecież się nie rwał. Był  
tylko koniecznością. Przystankiem,  
skąd nie odchodził żaden pociąg, ni  
autobus. Poszedł do sadu czeresni i  
jabłek pilnować, bo trzeba było coś  
zrobić ze sobą. Piętnaście lat prze-  
cież skończył.

Rys. E. Ingłot

— To on — ojciec wskazuje głó-  
wą na Leszka.

Uśmiecha się jednak: więc nie o  
kolo mu chodzi.

— No widzi pan. Rzemieślnik z  
rzemieślnikiem zawsze się jakoś do-  
gada. I co? — zwraca się teraz do  
Leszka. — Przystalbyś do mnie?

Leszek patrzy na skózaną kurtkę  
z kieszeniami na ekspres. Na klu-  
czyki od samochodu, którymi się  
bawi.

Zabręczało Leszkowi w kieszeni.  
Ożyły śrubki i gwoździe.

— Tak sobie uradziliśmy tu z pa-  
nem — mówi znów ojciec. — Ro-

Dokończenie na str. 12—13









